

CATWALK

MAGAZINE



#18
LUTY 2018

KOMFORT

SŁOWEM WSTĘPU

Jak bardzo za tym tęskniliśmy!

Po roku, w nowym składzie redakcyjnym oddajemy w wasze ręce osiemnasty numer Catwalku - w nowej odsłonie i w temacie, który jest bliski całej naszej redakcji - podjęliśmy zagadnienie komfortu. Realizując założenie, że Catwalk ma być antropologicznym magazynem o modzie, który traktuje ją jako język opisujący rzeczywistość, nasi felietoniści sięgnęli po różne definicje tego stanu, bo przecież komfort nie jest niczym innym niż stanem somatycznym, emocjonalnym, życiowym. Justyna pisze o wyrzeczeniach, które ostatecznie okazują się pokonywaniem słabości, Mateusz o ludziach, którzy go otaczają, Karolina o traktowaniu siebie. Nasze goście w udzielonych nam wywiadach opowiadają o tym jak można tworzyć inaczej niż wszyscy. O modzie piszemy - o tym jak zmieniała się wraz ze zmianą nastrojów społecznych - emancypacją kobiet i zniesieniem tego co „publiczne”, kiedy mody przeznaczone dla prywatnych przestrzeni wyszły na ulice. Będziemy też brały na warsztat części garderoby i szukały ich ewolucji - tym razem, skoro komfort, to sweter, o którym świetnie pisze Alicja.

Zdjęcia, które publikujemy, nie znalazły się w tym numerze przypadkiem, bo komfort kojarzymy przede wszystkim z akceptacją cielesności, afirmacją nagości i podziwianiem ciała. To wszystko, to bardzo ważne elementy mody, a o przemianach w postrzeganiu cielesności więcej pisze Justyna, biorąc na warsztat kanony, które przez dekady dyktowały wybiegi.

Nie pozostaje mi nic innego niż zaprosić do lektury. Czekamy na wasze wiadomości, dyskusję, uwagi - rozmawiajmy o modzie inaczej.

Anna Pajęcka

Redaktor naczelna

REDAKTOR NACZELNA

Anna Pajęcka

WICENACZELNA

Justyna Mysior-Pajęcka

REDAKCJA

Angelika Fedorczuk

Karolina Suboczewska

Alicja Kubów

Magdalena Pastuch

Mateusz Mielczarek

ZDJĘCIE OKŁADKOWE

Sandra Gałka/Modelka: Sara Sarna

LOGO

Katarzyna Jania

SKŁAD/OPRAWA GRAFICZNA

Maria Nózka

SOCIAL MEDIA I WSPARCIE PROJEKTU

Jędrzej Nawrocki

catwalkmag.pl



facebook.com/MagazineCatwalk



@catwalkmagazine

kontakt@catwalkmag.pl

SPIIS TREŚCI

6| **Moda wyszła z sypialni na ulice**

Anna Pajęcka

10| **Catwalk poleca**

co inspiruje naszą redakcję

14| **O kuchni w siedmiu zdaniach- Mateusz**

Zielonka, autor książki „Kuchnia w stylu

wolnym” + przepis na krem z dyni

przepytala Angelika Fedorczyk

16| **Odkrycie literackie**

O książce Roberta Seethale „Całe życie” pisze

Magdalena Pastuch

17| **Ewolucja Swetra**

Alicja Kubów

19| **Z Aleksandrą Rałowską, która prowadzi bloga**

zonajohna.com

rozmawia Karolina Suboczewska

22| **Rewolucja, której nie zauważyliśmy**

Justyna Mysior-Pajęcka

26| **Spring Girls**

edytorial Sandry Gałki

34| **Zdjęcia Karoliny Hanulak**

48| **Z Rachelą Dobrzańską, właścicielką**

kosmetycznej marki Kobalt

rozmawia Karolina Suboczewska.

52| **Jak sobie pościelesz**

o polskich markach pościeli pisze

Justyna Mysior-Pajęcka

54| **Future Faces**

Nowe twarze polskiego modelingu

58| **Nouvelle Vague**

edytorial Ludmiły Szulińskiej

68| **Komfort trzeźwego myślenia**

felieton Justyny Mysior-Pajęckiej

70| **Językiem mody mówią feministki**

Anna Pajęcka

74| **Za komfortowo też być nie może**

felieton Karoliny Suboczewskiej

75| **Przyjaciele**

felieton Mateusza Mielczarka

78| **Moda to architektura: wszystko jest**

kwestią proporcji

Angelika Fedorczyk

80| **Edytorial Marka Sławińskiego**



MODA WYSZŁA *z sypialni* NA ULICE

Anna Pajęcka

Jaką długą drogę przeszła moda od stelaży, niepraktycznych rękawiczek i gorsetów do piżamowych bluz – nie zmieści się na żadnym wykresie. Naszym przodkiniom dyscyplinowała ciało, nam dała komfort wybierania stylu, identyfikowania siebie poprzez ubranie i określenia własnego miejsca w świecie. Nie obyło się bez rewolucji, bo komfort w modzie wcześniej był oksymoronem. Przestał, kiedy prywatne zaczęło być publiczne, moda wyszła z sypialni na ulice, a wszystkie elementy garderoby ewoluowały, wraz z politycznymi, społecznymi, historycznymi zmianami życia codziennego.

Bielizniana rewolucja

Paradoksalnie z gorsetów wyzwoliła kobiety I wojna światowa. Ze względu na to, że praca, na którą zapotrzebowanie rosło wraz z rozwojem przemysłu zbrojnego, była pracą fizyczną, charakter musiał zmienić także strój. Nie były to od razu spodnie, ale na początku luźne suknie. Niekrępujące ruchów, maskujące figurę. Ta deseksualizacja ciała poprzez ukrycie jego kształtu pod strojem miała wymiar praktyczny – uwaga robotników nie mogła być odwracana podczas wielogodzinnej zmiany. Kiedy po wojnie kobiety wróciły do swoich „pierwotnych zajęć”, strój pozostał zdeformalizowany, ale po reliktach przeszłości nie każdy płakał. Gorsety dyscyplinowały ciało, nadawały mu pożądany (modny!) kształt, a w praktyce rzeźbiły bez znieczulenia. Kobiety ledwo oddychały, nie mogły się schylać, ubranie

stało się narzędziem ubezwłasnowolnienia i podległości. Trzeba przecież pamiętać, że niektóre panie chciały strzelać z łuku, gotować dla dzieci, być reporterką wojenną, nauczycielką – niekoniecznie z talią Dity von Teese. Nic więc dziwnego, że kiedy gorsety zostały finalnie zrzuczone, miało to wymiar praktyczny i ideologiczny jednocześnie. Lata 40. i 50. to czas nowego rozwiązania – lycry i nylonu, które uczyniły nowoczesną bieliznę bardziej przystępną ekonomicznie, ale niezbyt wygodną. Znowu, na kształt gorsetów, wrzynającą się w ciało, trudną do noszenia latem. Nic więc dziwnego, że dekadę później kobiety zrzucają staniki, co sprawia, że branża bielizniarska popada w finansowe tarapaty, a nagie piersi stają się symbolem feministycznego buntu.

Pół wieku później piękną bieliznę wymieniamy jako coś, co pozwala nam się czuć komfortowo, ale przede wszystkim doceniamy wybór noszenia tego, co naprawdę chcemy, bo jest przecież najbliżej ciała i obejmujemy to szczególną troską. Przez modę na stringi, po bawełniane majtki, które znowu stają się prawdziwym objawieniem. Okazało się, że mogą służyć jako narzędzie do dyskusji o codziennej dyskryminacji dziewczyn, jak w projekcie Poniżej Pasa, Diany Grabowskiej, wyszywania dziewczęcych symboli jak na instagramie Magdy Kamińskiej @hellom0m albo tworzenia się mikrospołeczności jak wokół feministycznego magazynu G'rls Room, który wypuścił dziewczęcze majtki z napisem G'rls. Niech żyje bawełna!



Z sypialni na ulice i do sypialni

Dlaczego pokochałyśmy bieleżniane sukienki, szlafrokowe płaszcze, luźne spodnie, satynowe koszulki i klapki z futerkiem przypominające klapki? To wszystko, co można nazwać estetyką komfortu być może jest odpowiedzią na przyspieszone tempo życia, które szczególnie w dużych miastach ma zawrotny wpływ na samopoczucie i jest odczuwalne niemal non stop. Ilość bodźców zmysłowych przetwarzana codziennie, media społecznościowe i presja liderów zarządzania życiem (nazywanych coachami), prowadząca do apatii, depresji i obniżenia poczucia wartości spowodowała odwilż w modzie. W modzie, bo to moda jest papierkiem lakmusowym społecznych nastrojów. Swoją rolę ma tu również zmiana sposobu pracy i zmiana znaczenia domu. Coś wisiało w powietrzu aż w końcu oka-

zało się, że bycie domatorką to żaden wstyd, podobnie jak praca freelancera to prawdziwa praca, czemu zaprzecza jeszcze pokolenie naszych dziadków. Coraz częściej mamy możliwość pracować z domu, a jeśli już musimy z niego wychodzić, pragniemy poczuć się tak, jakbyśmy zabrali ze sobą jego część. Z myślą o wielozadaniowości ubrania powstała marka Nayt – piżamowe kroje, zawsze oversizowe sprawiają, że niezależnie od tego czy jesteś w łóżku czy w biurze, masz to samo poczucie domowej wygody. Hołd w stronę komfortu oddają swetry, które są flagowym fasonem Bereniki Czarnoty już od wielu lat. Przecież sweter to esencja wygody i bezpieczeństwa. Najlepsze co można dać ciału. Kiedy myślę o komforcie na myśl przychodzi mi też duet Łyko, szyjący z trudnego materiału, lnu, wspaniałe, obszerne sylwetki. I pościel. To wyjaśnia wszystko.





Na światowych wybiegach komfortem zaślęła marka The Row założona przez siostry Olsen, która wydawała się wtedy mocnym oddechem po ciągłej próbie dekonstrukcji modowej dekonstrukcji.

Komfort zajął też do fotografii. Nie tylko pozbywamy się, wzorem Leny Dunham, obsesji na punkcie retuszu każdej niedoskonałości ciała, ale porzucamy też white cube'y, które swego czasu stanowiły ulubione tło do modowych edytoriali, na rzecz zaproszeń w domowe pielesze. Trzeba byłoby mocno się postarać, żeby nie być sobą w czterech ścianach, które tak silnie oddziałują na wszystkie zmysły. Dlatego w sypialni, łazience, bez ubrania, ale bez erotycznego kontekstu fotografują Harley Weir, Cass Bird czy Richard Kern.

„Pokaż nogi”

Jeden z rodzajów komfortu, którego możemy dzisiaj doświadczać, to komfort chowania swojego ciała, kiedy nie jesteśmy z nim w najlepszym kontakcie i pokazywania go, kiedy jest jego dzień. Kobiety udało się przeciąć gorsety, ale prawdziwa rewolucja wydarzyła się o krok dalej. Za jej matkę, której ofiarą stały się kobiety suknie, uznano prawdziwą carycę mody – Coco Chanel. Rzeczywiście, Chanel lansowała spodnie jako element mody rekreacyjnej, ale ostrzegała kobiety, aby nosiły je uważnie i nie pozwalały sobie na to przy każdej okazji. Etykieta, która dotyczyła kobiecego stroju wiązała się z silnym podziałem na prywatne i publiczne, który zaczęła znosić rewolucja feministyczna. Tak





jak strój domowy nie mógł być oglądany w towarzystwie, tak w domu pozwalano sobie na odsłanianie części ciała, które to zachowanie w przestrzeni publicznej mogło uchodzić za zbyt frywolne i naruszać etykietę. Prawo do publicznego noszenia spodni kobiety uzyskały dopiero w latach 60., wraz z zalewającą cały świat odwilżą. Dlatego dekadę później, lata 70. były prawdziwym polickim dla strażników „kobiecego” stylu. Prototyp dżinsów z 1935 roku, który wtedy nie przyjął się entuzjastycznie, tym razem zawładnął ulicami, szczególnie Francji. Dyktatorzy „kobiecych” trendów musieli przeżywać wtedy prawdziwe katusze – oto francuski szyk został przełamany przez niezbyt estetyczną tkaninę. Nadeszły ciężkie czasy! A miało być tylko gorzej. Nogi schowane w luźnych dzwonach, kulotach albo szwedach ukrywały „te kobiece atuty” i zaczęły hołubić męską odzieżową sylwetkę. Zaczęto deptać po największych świętościach, które dzisiaj są na szczycie pieśni przeszłości – jeśli dół dopasowany to góra luźna, jeśli odwrotnie to odwrotnie. Jeśli dopasowana garderoba, to w całości. Gdzie w tej filozofii miejsce na oversize? Oversize albo w żargonie polskiej mody „za duże ubrania” przyszedł na ratunek po bieliźnie z lycry, ale w modzie funkcjonował od zawsze, a konkretniej – od lat 20., chociaż swoje największe triumfy święcił w latach 80. (kolekcja Comme des Garçons z 1981 roku!) I dzisiaj. Polską mistrzynią kreowania ubrań oversize jest Anna Lachowska, właścicielka marki Cat Cat. Oversize ma wymiar praktyczny – pozwala schować się w ogromnej tkaninie, skutecznie odwrócić

uwagę od kształtu ciała, co pomaga podczas podróży komunikacją miejską, poprawić komfort i samopoczucie podczas menstruacji i przede wszystkim – czegokolwiek „za dużego” na siebie nie włożysz, po prostu wyglądasz super modnie. Ta zmiana w modzie ma również wymiar ekonomiczny – w latach 20., a szczególnie w latach 30., tkaniny nie były na tyle dostępne, aby moda oversize mogła stać się bardzo powszechna.

Z ostatnim oddechem przychodzi normcore. Znienawidzony i ukochany styl, przepełniony zwyczajnością, która jest porzuconym dzieckiem naszych czasów. I normcore, tak jak u Steve’a Jobsa albo Marka Zuckerberga, wymaga największej odwagi. Jeśli moda pozwala na zakładanie masek, to normcore potrafi te maski zrzucić – obnażać duchowych ekstrawertyków, którzy w adidasach i najbardziej zwyczajnym podkoszulku przestają być sobą. I wtedy okazuje się, że moda to drugie ciało, bo – uwierzcie albo nie – nie każdemu pasuje czarny t-shirt.

Anna Pajęcka

Ostatnio czytałam „Listy do młodego kontestatora” Christophera Hitchensa i „Delifna w Malinach” wydane przez redakcję Dwutygodnika.

Ostatnio widziałam wystawę „Amoreski. Intelktualny koktajl erotyki kobiecej” w Fundacji Galerii Foksal.

Komfort czuję, odkąd skasowałam konto na facebooku i przestałam wstydzić się publicznie przyznawać, że tak naprawdę to nie bardzo lubię wychodzić z domu.

A komfort kojarzy mi się z czystymi włosami, obszernym ubraniem i kieliszkiem wina po pracy.

Mateusz Mielczarek

Ostatnio widziałem „Happy End” Michaela Hanekego

Przeczytajcie cokolwiek Marka Fishera (k-punk)

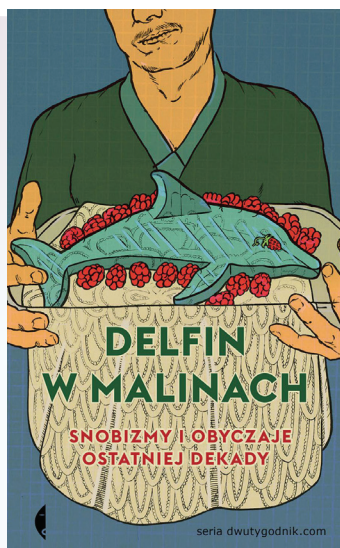
Ostatnio słyszałem, że podobno nie ma już Francji.

Czekam na nowe kawałki Belmondo aka Młody G

Odwiędziłem niedawno Ul i Krakena, bo mam blisko.

Komfort czuję gdy mam stabilność finansową i dobrych ludzi przy sobie.

Komfort kojarzy mi się z miesięcznym dochodem oscylującym wokół kwoty zaczynającej się od 5000 tysięcy złotych oraz trzypokojowym mieszkaniem na Powiślu.



Paulina Ołowska „Amoreski. Intelktualny koktajl erotyki kobiecej”, Fundacja Galerii Foksal



„Happy End”, reż. Michael Haneke, 2017

Karolina Suboczewska

Ostatnio widziałam wystawę w Muzeum Narodowym, bo szukałam inspiracji na moje drugie konto na instagramie @wixrealizm. Przy okazji, był to pierwszy raz mojego chłopaka w jakimkolwiek muzeum (choć wstyd przyznać) i dawno nie widziałam, żeby komuś tyle radości sprawiło przyglądanie się z bliska pociągnięciom pędzla!

Ostatnio widziałam prawie wszystkie części Bonda i niepodważalnie jestem #TeamConnery.

Przeczytajcie książkę „Bohaterski Miś czyli przygody pluszowego niedźwiadka na wojnie” Bronisławy Ostrowskiej. Jestem zdania, że naprawdę warto czytać książki dla dzieci, bo one często po prostu o bardzo trudnych sprawach mówią bardzo łatwym językiem.

A „Bohaterski Miś...” to polski Kubuś Puchatek, któremu nie dane było wędrować w poszukiwaniu mądrości życiowej.

Komfort czuję, gdy... nareszcie otaczają mnie ludzie, przed którymi nic nie muszę udawać.

Komfort kojarzy mi się... z ładną bielizną. W ładnej bieliźnie czuję się zawsze chociaż trochę bardziej komfortowo.



#TeamConnery

Magdalena Pastuch

Pojęcie komfortu dla mnie nie wiąże się z leniwym wieczorem z książką i butelką wina w łóżku, ani czasem spędzonym w gronie znajomych, choć, bezapelacyjnie, przepadam za takimi formami odpoczynku. W moim wypadku pojęcie komfortu jest ściśle związane z pracą, którą zajmuję się na co dzień. **Czuję się komfortowo** jedynie wtedy, kiedy w tej dziedzinie mojego życia wszystko jest dopięte na ostatni guzik, a zadania wykonane są do końca i w stu procentach tak, jak sobie to wcześniej zaplanowałam.



Bronisława Ostrowska
„Bohaterski miś czyli przygody
pluszowego niedźwiadka na wojnie”, Znak 2011

Instagram @wixrealizm



wixapol @pan_totalne_zniszczenie
PANU CHYBA SB COS POMYLIŁO :*(
WARTOSCI WIXAPOLSKIE CZYLI
STYL KLASA I WALECZNOSC))

10godz. Polubienia: 3 Odpowiedz

Justyna Mysior-Pajęcka

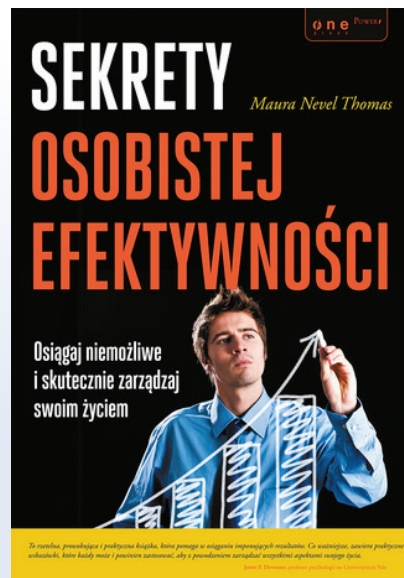
Ostatnio widziałam dokument „Iris” o cudownej Iris Apfel. Po raz kolejny. Chyba nigdy mi się nie znudzi. Oglądałam też jak zwykle dużo seriali. Między innymi bardzo dobry „Dark”.

Przeczytajcie czasem poezję. Polecam zbiór „Być może należało mówić” Jacka Podsiadło.

Ostatnio słyszałam, że wino odchudza. Przesłuchałam też wreszcie płytę „Selfie” Beneficjentów Splendoru, chociaż od premiery mijają właśnie dwa lata, a wszystkie wcześniejsze teksty znam na pamięć.

Niedawno odwiedziłam niepozorny łódzki sklep w centrum miasta w którym można znaleźć porcelanę i ceramikę z zamkniętych polskich fabryk. Piękne doniczki, filiżanki, talerze. A wszystko w takich cenach, że trudno wyjść bez niczego.

Komfort kojarzy mi się z życiem na własnych zasadach.



Maura Nevel Thomas, „Sekrety osobistej efektywności. Osiągaj niemożliwe i skutecznie zarządzaj swoim życiem”, Onepress 2014

Alicja Kubów

Może to banalne, ale **czekam na** polską edycję Vogue’a, by przekonać się jaka jest kondycja świata mody w Polsce.

Komfort czuję, gdy gotuję. Jest to dla mnie zajęcie relaksacyjne.

Komfort kojarzy mi się z harmonią. To z powodu jej częstego braku, tak rzadko go odczuwam

Przeczytajcie książkę „Sekrety osobistej efektywności”, pomaga w trudnych chwilach. Dzięki niej zgłębiłam samą siebie i dowiedziałam się czego chcę, a czego nie.



„Iris”,
reż. Albert Maysles, 2014



Poly Chain, soundcloud.com/poly-chain

Maria Nózka

Ostatnio widziałam serial „Altered Carbon”.

Jest pełen cyberpunkowych klisz i rozdmuchanego świata ponurej przyszłości.

Dobrze wchodzi po ciężkim dniu.

Ostatnio słuchałam Poly Chain, Ukrainka mieszkająca w Polsce, robiąca bardzo oryginalną, autorską elektronikę.

Byłam w Solatorium - znajdującej się w jednym z warszawskich domków fińskich oazie, gdzie można odpocząć wśród zieleni i norweskich lamp mających działanie antydepresyjne.

Czekam na nową powieść Doroty Masłowskiej, która ma wyjść lada moment.

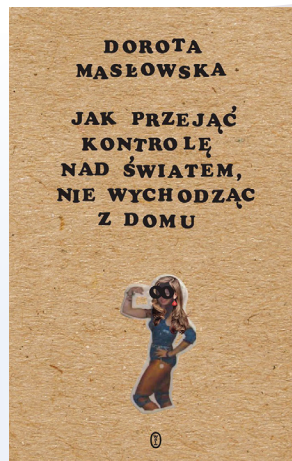
Komfort kojarzy mi się z leżeniem przytuloną do moją psa, Ronji w sobotni leniwy poranek.

Angelika Fedorczyk

Choć może się to wydać nieco niepoważne, to ja naprawdę na początku jesieni, tudzież zimy cieszę się, gdy dni stają się krótsze, a za oknem robi się nieprzyjemnie. Nie, nie jest to w myśl „będę tak mówić tylko po to żeby drażnić innych”. Nic z tych rzeczy!

Gdy pojawiają się pierwsze oznaki nadchodzących mrozów ja myślami odpływam już do tych długich leniwych wieczorów spędzonych w towarzystwie zwierząt domowych w ilości 3. i wielkiego kubka kakao. Kakao jest moim ulubionym zimowym napojem. Zawsze, gdy je piję przypominam sobie dzieciństwo i te dni, gdy okazywało się, że nie pójde do szkoły z powodu choroby. Mogłam wtedy bezkarnie leżeć pod kocem i pić kakao! Dlatego dziś tak chętnie do tego wracam.

Lubię w zimowe popołudnia otulić się ciepłym kocem z kapturem o głowie królika, założyć kapcie, które już nie przystoją kobiecie w moim wieku (są wielkie i pluszowe) i po prostu zanurzyć się w lekturze. Tej zimy wraz z Dorotą Masłowską rozpracowuję „Jak przejąć kontrolę nad światem nie wychodząc z domu” oraz odkrywam, a raczej na nowo poznaję tak dobrze mi znany krajobraz naszego kraju za sprawą książki „Hawaikum”.



Dorota Masłowska, „Jak przejąć kontrolę nad światem nie wychodząc z domu”, Wydawnictwo Literackie 2017



„Altered Carbon”, twórca: Laeta Kalogridis, produkcja Netflix



Solatorium, zdjęcie: facebook.com/solatorium

O *kuchni* w siedmiu zdaniach -

Mateusz Zielonka, autor książki „Kuchnia w stylu wolnym”

Przepytała: Angelika Fedorczyk

Kuchnia w stylu wolnym, czyli jaka?

To kuchnia trochę w stylu slow, czyli zdrowa i bez pośpiechu, ale też kuchnia freestyleowa, czyli taka, kiedy używam kulinarnych sztuczek, których się nauczyłem.

Gdy nie pracujesz, na pewno pozwalasz sobie na leniwy dzień. Co cię relaksuje?

Zdecydowanie deskorolka, muzyka, lampka wina i programy kulinarne.

Masz jakieś ulubione miejsce, w którym lubisz jadać i czujesz się komfortowo?

Na świeżym powietrzu.

Komfortowe jedzenie albo „comfort food”. Co to oznacza dla ciebie?

Dla mnie to takie dania, przy których się relaksuję i przeżywam przygodę.

Jaka potrawa, która dla ciebie idealnie wpasowuje się w to pojęcie ?

Uwielbiam buliony i wywary: od tradycyjnego rosółu po orientalny ramen, a zupa grzybowa z fasolą nie ma sobie równych.

Ulubione wspomnienie z dzieciństwa związane z gotowaniem?

Chyba zbieranie grzybów z tatą, a potem ich suszenie. W domu rozchodził się nieziemski zapach.

Gdybyś miał w trzech słowach opisać, czym dla ciebie jest komfort, co by to było?

Chill, umami, czekolada.



KREM Z PIECZONEJ DYNI POD MIĘTOWĄ KOŁDERKĄ

Zupełnie inna odsłona kremu dyniowego w połączeniu z mlekiem kokosowym, miętą i groszkiem, zaprowadzi was w miejsce, w którym jeszcze nie byliście.

SKŁADNIKI / 3 PORCJE

- dynia (500 g)
- cebula (1 szt.)
- marchew (2 szt.)
- chili (1 strączek)
- wywar warzywny (1 litr, przepis nr 7)
- czosnek (3 ząbki)
- oliwa
- rozmaryn
- gęste mleko kokosowe (150 ml)
- zielony groszek (150 g)
- mięta świeża (pół pęczka)
- sos sojowy (1 łyżka)
- olej sezamowy nierafinowany, tłoczony na zimno
- pestki z dyni uprażone z odrobiną soli (ok. 30 szt.)

PRZYGOTOWANIE

Dynię ze skórą, marchew, czosnek w łupinkach, cebulę pokrojoną w ćwiartki, imbir obrany, chili bez pestek włóż do brytfanki żaroodpornej, dopraw solą i pieprzem, dodaj kilka gałązek rozmarynu i obtocz wszystko w oliwie. Piecz w temperaturze 180 stopni przez 25 minut. Wyjawszy z piekarnika, ściągnij z dyni skórkę, a czosnek obierz z łupinek (powinien być miękki i delikatny). Włóż wszystkie warzywa do garnka, dodaj litr wywaru warzywnego i gotuj przez 10–15 minut. Następnie zmiksuj wszystko blenderem na gładki krem i dopraw solą oraz pieprzem. Mleko kokosowe wlej do rondelka, dodaj miętę i gotuj 10 minut aż mleko zgęstnieje, wtedy dopraw je sosem sojowym i wymieszaj. Groszek zblenduj na gładką masę, dodaj do niego mleko z listkami mięty i wszystko dokładnie wymieszaj. Dopraw, jeśli jest to konieczne, do smaku.

Krem z dyni wlej do miski na wierzch wlej sporo musu z groszku, posyp prażonymi pestkami dyni i polej kilkoma kroplami oleju sezamowego.

Odkrycie literackie Robert Seethaler

CAŁE ŻYCIE

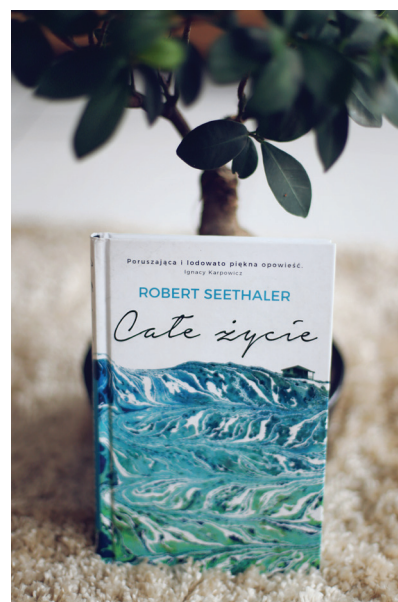
Magdalena Pastuch

Na „Całe życie” Roberta Seethalera natknęłam się na Instagramie jednego ze znakomitych polskich pisarzy - Jakuba Żulczyka. Po lekturze i przeglądaniu internetowych opinii innych czytelników, którzy mieli do czynienia z tą książką, śmiało mogę stwierdzić, że to właśnie wspomniany autor najtrafniej wydestylował przy pomocy słowa kwintesencję tej lektury:

„Całe życie” Roberta Seethalera ma 150 stron, czyta się ją może w dwie godziny, ale może zostać w człowieku na lata. To historia jednego życia, prostego i długiego, monotonnego i pełnego niuansów.

„Całe życie” to nic innego jak literacki minimalizm - opisy, dialogi, warstwa fabularna - wszystkie elementy świata przedstawionego zostały okrojone treściowo do minimum, aby czytający mógł skupić się na najważniejszym - kondycji człowieka, któremu od pierwszych już stronnie nieustannie towarzyszy śmierć i samotność. Forma książki jest prosta, tak jak zresztą jej język, w którym na próżno doszukiwać się rozbudowanych opisów czy metafor. Jest to jednak lektura, która po przeczytaniu zostaje w człowieku na dłużej. Piękna, ale jednocześnie surowa w swej formie, na pewno jednak nie trafi w gusta wszystkich czytelników.

Główny bohater to Andreas Egger, mieszkaniec alpejskiej doliny położonej gdzieś w Niemczech. Egger jest żołnierzem podczas drugiej wojny światowej, jeńcem rosyjskiego obozu, przewodnikiem, a w końcu - mimo, że przez bardzo niedługi okres czasu - szczęśliwym mężem i kochankiem. Książka, pomimo krótkiej formy, zawiera zrzeszenie wielu motywów: śmierci, alienacji, samotności, bezpowrotnego przemijania ludzkiego życia, które - jak zostało pokazane w tej powieści - wcale nie musi być udane i szczęśliwe.



Nienachalnie ukazany został także kontrast między postępem cywilizacyjnym, a naturą, która potrafi potraktować bezwzględnie nawet tych, którzy mają do niej ogromny szacunek, jak to miało miejsce w wypadku Eggera.

Oczywiście, jak to bardzo często bywa, zamieszczone na okładce książki recenzje „specjalistów” nijak mają się do jej treści. O powieści Seethalera czytamy: „Całe życie” to subtelna opowieść o odnajdowaniu sensu i piękna w samotności, a przecież bohater nie spędził życia na poszukiwaniu jego sensu, a w samotności, na którą był skazany już od wczesnych lat dzieciństwa, na pewno nie doszukiwał się piękna.

Całe życie to bez wątpienia rzecz wyjątkowa i jedna z najlepszych książek, jakie udało mi się przeczytać w ciągu swojej przygody z literaturą. Jest to lektura zdecydowanie godna polecenia tym czytelnikom, którzy chętniej sięgają po rzecz ambitną, niż przygodową jatkę. Po lekturze powieści w czytelniku pozostaje trudny do ubrania w słowa niepokój oraz świadomość tego, że nie każde życie musi być dobre.

EWOLUCJA SWETRA

Alicja Kubów

Przygotowując się do pisania artykułu na temat „historii swetra”, spytałam kilku znajomych, co właściwie kojarzy im się ze słowem sweter. Czy jest to miłe skojarzenie, czy może pierwszą myślą jest coś negatywnego. Nie zdziwiło mnie, jak wiele skojarzeń dotyczy dzieciństwa, bliskości, ciepła, imbiru, czy domku w górach.

Nie zabrakło odwołań do ikon współczesnej popkultury jakimi są Bridget Jones i świąteczne swetry, Ed Sheeran i jego teledysk do piosenki „Perfect”, czy krótka historia różowego swetra z filmu „Chłopaki nie płaczą”.

Dobrze by było tę wiedzę uporządkować i sprawić, by historia swetra stała się nie tylko skojarzeniem. Już samo nazewnictwo swetrów może być problematyczne, bo rozpoczynając definiowanie tego, czym właściwie jest, zetkniemy się z podziałem swetrów stosowanym w American English oraz British English, a te rozróżnienia mają wpływ na późniejsze tłumaczenia w języku polskim. Słowo sweter „sweater” z północnoamerykańskiego angielskiego to coś co zakrywa tors i ramiona, dzieli się na „pullover” i „cardigany”, czyli te wkładane przez głowę i te zapinane na guziki lub zamki. W Polsce pullover kojarzą się jednak z kamizelkami wkładanymi przez głowę. W języku angielskim brytyjskim na sweter mówimy „jumper” i „jersey”, gdzie nazwa jersey stosowana jest w związku z rodzajem dzianiny rozpowszechnionej przez Coco Chanel lub bluzy dla sportowców. Osobnym tematem może być golf, który z kolei jest rodzajem dekoltu, noszonym od XIX wieku, na początku przez robotników, oficerów i marynarzy, później kojarzony głównie z naukowcami, filozofami i artystami. Nosił go Michael Foucault, Greta Garbo czy Steve Jobs.

Historia swetra

Historia swetra sięga czasów Celtów, sam sweter po raz pierwszy opracowany został przez rybaków mieszkających na wyspach Aran, na zachód od wybrzeży Irlandii. Co ciekawe, mieszkańcy wysp do dziś zajmują się wyrobem swetrów, a „arański sweter” przeszedł do kultury jako międzynarodowy symbol tego regionu. Charakterystyczny dla niego jest gruby splot robiony na drutach, z wcześniej przędzonej owczej wełny. Splot ten nawiązuje do ukształtowania terenu wysp Aran oraz sieci rybackich i rybołówstwa, które było głównym zajęciem mieszkańców wyspy. W latach pięćdziesiątych XX wieku arański sweter trafił na strony magazynu Vogue jako jeden z najbardziej pożądanых swetrów. Stał się on symbolem klasycznego piękna i jakości oraz inspiracją dla projektantów takich jak Jean Paul Gaultier czy Kenzo. Sweter o splocie skandynawskim po raz pierwszy znaleziony został w Norwegii i jego pochodzenie datuje się na przełom XV i XVI wieku. Najbardziej rozpoznawalne wzory to umieszczone w rzędach lub kolumnach romby i płatki śniegu. Wszystko zaczęło się od rękawiczek, które miała na sobie dziewczyna chodząca do kościoła w jednej z norweskich wsi. Wzór na nich był tak inspirujący, że rozpoczęto przenosić go również na swetry. Obecnie istnieje ponad trzysta zarejestrowanych wzorów norweskich swetrów, które od lat 50. XX wieku były noszone przez sportowców olimpijskich. Norweski wzór przedostał się również do popkultury między innymi w postaci swetra noszonego przez główną bohaterkę duńskiego serialu The Killing. Pod koniec XIX wieku wzrastająca emancypacja kobiet pozwoliła na uczestnictwo ich w sportach takich jak tenis, golf czy kolarstwo, które wymagały innego niż dotychczasowy stroju. Również ubiór stawał się bardziej casualowy, a potrzeba wypoczynku sprawiła,

że zainteresowanie projektowaniem swetrów stawało się coraz częstszym zjawiskiem. W latach 20. i 30. XX wieku Coco Chanel zainspirowana męskim jerseyem, rozpoczyna adaptację tej części garderoby na potrzeby kobiet. Staje się to symbolem luźnego, a zarazem wyrafinowanego stylu. Elsa Schiaparelli wprowadza na rynek swój „trompe-l'oeil” inspirowany marynarskim stylem. Później swetry noszone są przez gwiazdy kina, a niejeden z nich otrzymuje miano kultowego i staje się inspiracją dla późniejszych kolekcji projek-

podróży. Jego często zabawne prace umieszczane są w American Visionary Arts Museum w Baltimore.

Swetry w Polsce

Jakie miejsce w historii i kulturze Polskiej uplasował sobie sweter?

Sweter nieodłącznie związany jest z nocami spędzanymi przy ognisku pod gołym niebem, z kulturą poezji śpiewanej i „Starego Dobrego Małżeństwa”. Już od czasów PRLu noszony przez studentów studiów humanistycznych i artystów związanych z kra-



tantów i sieciówek. Sonia Rykiel projektuje swetry noszone przez Audrey Hepburn, które na stałe zapisują się jako definicja kobiecej elegancji utrzymana do dziś. Marzeniem kobiety jest posiadanie kaszmirowego swetra, który jakością przyćmiewa każdy inny. W historii na zawsze zapamiętamy obraz znoszonego swetra Kurta Cobaina, czy Freddyego Krugera. Jest też słynny sweter Steve McQueena z filmu „Bullitt”, czy sweter z filmu „Big Lebowski”. Pamiętamy swetry z ery Jazzu reprezentowanej przez E.S. Fitzgeralda i jego książkę „Wielki Gatsby”. Należy również pamiętać o swetrach hokeistów i swetrach reprezentujących domy brytyjskich i amerykańskich szkół. Rzadko już sweter kojarzy się z babcią siedzącą na bujanym fotelu i robiącą na drutach zawstydzające świąteczne swetry. Obecnie istnieje nawet „Dzień brzydkiego świątecznego swetra” obchodzony 18 grudnia. Zwyczaj ten został przyjęty w Polsce na wzór amerykański, kiedyś związany był z obciachem i kiczem, obecnie jest symbolem dystansu do siebie i poczucia humoru. Manifestuje luz i staje się tradycją wiążącą członków rodziny „pół żartem, pół serio”. To ten sweter łączy Bridget i Marka. Interesujące podejście do swetrów ma Sam Barsky, podróżnik, który zwiedza świat i dzierga swetry z wizerunkami odwiedzonych miast. To jego sposób na wyrażenie siebie, a zarazem ciekawa pamiątka z

kowskimi kawiarniami i Piwnicą pod Baranami. Popularny sweter w Polsce to ten, który miał na sobie Lech Wałęsa w roku 1980 podczas strajków w stoczni. Lata 80 i 90. to okres, w którym swetry królowały na ulicach polskich miast. Sweter współcześnie to jego dekonstrukcja – ubieramy go kiedy chcemy i w jaki sposób chcemy. Dekolty na plecach, kardigany z zapięciem z tyłu Sezane. Swetry – koce, swetry-poncza, swetry z perłami oraz długie swetry-sukienki. Dostępne i modne są również swetry – koce ogony syren oraz fotele swetry. Sweter noszony jest w zimne dni pod kurtkę, ale również eksponowany jako element klasycznego outfitu. Rzadko kiedy widzimy na ulicach powyciągany sweter bezdomnego, styl Cobaina przeszedł do lamusa, bo zmieniła się definicja komfortu, który teraz kojarzy się z luksusem. Czy na pewno? Ja nadal lubię siedzieć pod ciepłym kocem w za dużym swetrze mojej mamy z lat 90 i oglądać serial, popijając ciepłe kakao. I chyba już zawsze sweter będzie kojarzył się nam właśnie z tym komfortem, jaki odczuwamy głównie wtedy, gdy nikt nie patrzy. Co ze swetrem przyszłości? Jak zmieni się jego funkcja i czy pójdziemy nieco dalej w sposobie jego ubierania? Być może, ale bardziej prawdopodobny jest powrót do prostoty i klasyczne kroje, bo nie raz zauważyliśmy już, że historia, również historia mody, niejednokrotnie zatacza koło, a klasyka modna jest zawsze.

LUBIĘ MYŚLEĆ, ŻE DRESY NIE DYSKREDYTUJĄ MNIE W UCZESTNICTWIE W „MODZIE”.

Z Aleksandrą Rałowską, która prowadzi bloga **zonajohna.com**
i wspaniałe konto instagramowe rozmawiała Karolina Suboczewska.

Opowiadałaś już tę historię na swoim blogu, ale opowiedz też naszym czytelnikom i czytelnikom. Kim jest Żona Johna?

Żona Johna to dziewczyna taka jak ty. Mam 32 lata i zastanawiam się co robić w życiu. Z doświadczenia zawodowego jestem projektantką ubioru, z wykształcenia filozofem. Instagrama założyłam w zeszłym roku, bo moja przyjaciółka (@mamaginekolog, która w tym roku znalazła się w pierwszej dziesiątce najlepszych blogerów 2017 roku) nie miała mnie jak oznaczać na zdjęciach. Pomyślałam, że jedyne co lubię niezmiennie od zawsze i co nazwałabym swoim hobby, to ubieranie się i tak powstała Żona Johna. Mam swój hashtag #gaciepotacie i z otwartością i poczuciem humoru piszę o tym, co mam na sobie, a są to na ogół stare t-shirty męża czyli Johna. Okazało się, że piszę to w ciekawy i zabawny sposób, dlatego od niedawna mam też bloga (www.zonajohna.com),

gdzie piszę jeszcze więcej. Zapraszam na moją stronę, bo historia Żony Johna jest zabawna! Zdradzę tylko, że mój mąż jest artystą muzykiem i pewnego dnia, kiedy wydawało mi się, że nie wiem kim jestem otworzył mi się strumień świadomości i wszystko się w nim pięknie ułożyło, nie stanowi to już mojego problemu.

Jednocześnie piszesz o modzie i antykonsumpcjonizmie. Jak wygląda w praktyce takie podejście do mody?

Chodzę w ciuchach Johna, taty i brata, które mają po dwadzieścia lat, no ale powiedzmy, że nie każdy czuje taki styl. Zachęcam, do chodzenia do secondhandów, wymieniania się ciuchami z koleżankami, sprawdzania metek i składu ubrań, wspierania polskich projektantów, a nie wielkich sieciówek! No i najważniejsze—kupujcie mniej!



w których ubrania miały większą wartość i znaczenie. Boję się tylko, że większość ludzi woli wyglądać extra i zapłacić za te buty 49 zł, a takie znajdziemy tylko w sieciówce. Odseparowanie tego jak wyglądamy, od tego jak się czujemy i kim się czujemy jest bardzo trudne. Oceniamy po wyglądzie i lubimy dobrze wyglądać.

Czy według Ciebie Polacy to dobrze ubrany naród?

Uważam, że tak, mimo że można poznać Polaka za granicą (ale to fajne). Nie możemy przyrównać się na przykład do Włochów czy innych narodowości, gdzie kultura jest od dawna związana z tkaninami, modą i przemysłem odzieżowym. W Polsce nie uczymy się materiałoznawstwa, dużo osób nie odróżnia tkanin od dzianin, czy poliestru od wiskozy, a pewnie też od bawełny. Kiedy Królowa Bona przyjechała do Polski (około 1518 rok) ze swoim posagiem, w którego skład, w dużej mierze wchodziły tkaniny, piękne, ręcznie tkane, wyplatane złotem, to została wymiana.

Na potrzeby wyszukiwarki Google (kiedy zakładałam swoją stronę) musiałam się jakoś określić, a ponieważ dużo u mnie ubrań, to wymyśliłam sobie takie określenie „blog modowy z przymrużeniem oka“, nie wiem czy kreatywnie, ale pasuje.

Czy to właśnie oznacza „konsumować świadomie”?

Dla mnie to kupować mniej i zdawać sobie sprawę z tego, jak wygląda cykl powstania produktu, ile osób bierze udział w jego wytworzeniu, a bierze bardzo dużo! Jak powstaje materiał na nasz produkt, kto ten produkt projektuje, szyje, pakuje. Potem ten wyrób okrąża pół planety, żebyś go kupiła. Na wyprzedaży skórzane buty, które przypląły do nas z Chin, a które imitują buty od najlepszych projektantów, kupisz za 49 zł! To mnie smuci!

Dostrzegasz, obserwując branżę odzieżową, jak się zmienia? Ostatnia dekada to czas kupowania i wyrzucania, wynikająca z dostępności ubrań. A jednak nasza rodzima moda zbudowała się na kreatywności, przerabianiu i przetwarzaniu. Wrócimy do tego, czy to już przeszłość?

Chciałabym! Jest teraz moda na zero waste, zwracamy uwagę na to ile śmieci wytwarzamy, nie używamy plastikowych torebek, nie jemy mięsa. Jesteśmy bardziej świadomi. Może w modzie też wrócimy do czasów,



Swojego bloga określasz jako “o modzie z poczuciem humoru”. Uważasz, że w polskiej modzie brakuje powietrza, wszystko jest bardzo serio?

Nie umiem tego ocenić. Mój blog i Instagram jest mocno alternatywny i mogę pozwolić sobie, żeby być sobą. Na potrzeby wyszukiwarki Google (kiedy zakładałam swoją stronę) musiałam się jakoś określić, a ponieważ dużo u mnie ubrań, to wymyśliłam sobie takie określenie „blog modowy z przymrużeniem oka”, nie wiem czy kreatywnie, ale pasuje. Inspirują mnie takie rzeczy jakie znajdziecie na moim blogu i Instagramie, prawdziwe, bez filtra, bez układania ładnych kompozycji, bez nadęcia, #nomakeup, na luzie.

Jak wygląda szafa Żony Johna?

Jest w niej dużo ogromnych vintage t-shirtów. Dużo spodni i płaszczy, bo bardzo lubię i parę par męskich kalesonów, bo mają to coś w sobie.



Tematem przewodnim naszego numeru jest “komfort” i to właściwie jedno z pierwszych skojarzeń, kiedy przeglądam Twój instagram. Czy moda według Ciebie to mimo wszystko sztuka (której też dużo u Ciebie), czy nie wyklucza się to z poczuciem komfortu, starymi t-shirtami i kalesonami?

Moda to wielka sztuka. Jeżeli myślimy o modzie w kontekście projektantów i wybiegów to Alexander McQueen, Vivienne Westwood, Jean-Charles Castelbajac (to moi 3 ulubieńcy) to byli/ są wielcy artyści, a to co robią świadczy o umiejętności i kreatywności. Moda jako zestawianie ze sobą poszczególnych elementów ubioru, czyli kreacja czy styl, to też sztuka, można nauczyć się pewnych zasad i być poprawnym, a można być mistrzem w tej dziedzinie. Lubię myśleć, że dresy nie dyskredytują mnie w uczestnictwie w „modzie”, ale wiem, że dużo osób myśli inaczej. Jestem pewna, że mam tę chorobę związaną z wyczuleniem na dotyk, nie wiem jak się nazywa, ale można ją u mnie zdiagnozować. T-shirt bawełniany z domieszką elastanu nawet tylko 5% jest dla mnie za „zimny” i za „śliski”, nie mogę ich nosić.

Przywiązujesz się do swoich ubrań?

Bardzo. I dbam o nie bardzo. Pamiętam wszystkie swoje ulubione ubrania od nastoletniości, a nawet od dzieciństwa. Fioletowy mięciutki dresik, bluza od niego miała przyklejona scenkę z dziewczynką i piskiem z takiego wypukłego plastiku. Miałam 6 lat jak babcia niechcący przypaliła mi go żelazkiem, bardzo płakałam.

REWOLUCJA, KTÓREJ NIE ZAUWAŻYLIŚMY

Justyna Mysior-Pajęcka

Charles Worth, projektant, którego do dziś dość często przedstawia się jako twórcę zawodu modelki wykorzystał wizerunek Marie Vernet do prezentacji własnych pomysłów ze względu na jej niesamowite podobieństwo do klientki, która dzięki temu miała się przekonać, dlaczego proponowana suknia jest czymś bez czego nie może się obejść. Reakcja kobiety spowodowała, że w tych działaniach ujrzał potencjał i wprowadził je jako stały element swojej pracy. Zapewne nie spodziewał się wtedy, że stosowane przez niego zabiegi, nazwane przez historię pokazami mody będą wykorzystywane ponad sto lat później. Z drobnym wyjątkiem. W XX wieku niełatwo było już jednoznacznie stwierdzić czy w kobietach prezentujących projekty ich odbiorczynie wciąż widzą pewnego rodzaju własne odbicie, a pokaz traktują jako moment w którym wirujące tkaniny mają rozbudzić wyobraźnię i przekonać, że materiał równie pięknie będzie układał się na ich sylwetce. Zdania co do sposobu postrzegania i znaczenia roli modelki dla współczesnego społeczeństwa są podzielone już, przynajmniej, od kilkudziesięciu lat. Skupmy się na polskim rynku, który w tym kontekście jest bardzo interesujący, głównie dlatego, że najbliższy. Komentarze, które dziś możemy przeczytać w Internecie dotyczące zawodu modelki niewiele różnią się treścią od tych, które czytaliśmy w listach od czytelników zamieszczanych na łamach kolorowych magazynów w latach dziewięćdziesiątych. Powstaje tylko pytanie czy zmiany zachodzące w świecie mody w ciągu ostatnich dekad przebiegają w zbyt wolnym tempie, żeby były łatwo dostrzegalne przez społeczeństwo masowe, czy stereotyp związany z pracą w tej branży jest na tyle silnie zakorzeniony, że na jego przełamanie potrzeba dużo więcej

czasu i włożonego wysiłku niż mogłoby się wydawać.

Już w okresie PRL-u zwracano szczególną uwagę na sylwetki kobiet prezentujących modę. Wiadomo, że wymogi były inne niż dzisiaj. Inny był obowiązujący kanon urody. Również dyskusja, która toczyła się wokół tego tematu dotyczyła innych aspektów niż obecnie. Barbara Hoff, która własną modę określała jako tę „dla młodych dziewcząt, dzięki której nie będą musiały dawać dupy cudzoziemcom za modny ciuch”, lubiła powtarzać, że wszystko do Polski przychodzi z Zachodu. W rozmowie z Włodzimierzem Kalickim wspomniała, że „ostatnie twórcze inspiracje ze Wschodu pojawiły się w polskich strojach przed trzystu laty, razem z kawą zdobytą w tureckich namiotach pod Wiedniem. A potem już tylko patrzyliśmy na Zachód.”



Czy to spojrzenie obejmowało również sposób postrzegania pracy modelki? Biorąc pod uwagę słynne podejście projektantki, które idealnie obrazuje wielokrotnie powtarzana w środowisku anegdota opowiadająca o tym, że na pytanie co zrobić, aby dobrze wyglądać pani Hoff odpowiadała - schudnąć 10 kilo, a na kolejne, czyli co poza tym – schudnąć jeszcze pięć, możemy mieć pewność, że zachodni sposób patrzenia mógł być wtedy bliski projektantom. Nie była ona jedyną, która zwracała uwagę na wygląd współczesnych młodych kobiet, zestawiając go z wizerunkiem kreowanym przez importowane czasopisma, zamieszczające zdjęcia z zagranicznych sesji czy pokazów. Ówczesna prasa wspominała o często występującej nadwadze, podkreślając, że lansowana jest szczupła, dziewczęca sylwetka, a częstotliwość występowania tematu odchudzania na łamach pism powinna wpłynąć na wprowadzenie pewnych ograniczeń w konsumpcji. Wypominano błędy matek, które pozwalają nastolatkom na zbyt wiele, akceptując dodatkowe kilogramy i nadprogramowe centymetry w biodrach, a dodatkowo manifestują zadowolenie z tego, że ich córki noszą spódnice, których szerokość znajduje się gdzieś w granicy metra. W jednej z czytanych ostatnio książek podsumowujących okres PRL-u znalazłam komentarz mówiący, że polskie dziewczęta nie były prawdziwie piękne. Według statystyki narodowej miały średnio 158 cm wzrostu, co można było określić jako zbyt mało. Ważyły przy tym około 58 kilogramów, co klasyfikowało je jako zbyt ciężkie. Statystyczna polka nie wpisywała się w utworzony kanon. Choć i on dość mocno odbiegał od tego o co spieramy się dzisiaj.

Ciekawe jest to, że wiele osób czytając teraz często dosadne słowa wypowiediane przez Barbarę Hoff czy innych zwolenników szczupłej sylwetki kreujących pewien idealny wizerunek, mający duży wpływ na współczesne im kobiety powie, że takie podejście było niezdrowe, mogło wywoływać kompleksy u niedojrzałych jeszcze dziewcząt i propagować negatywny stosunek wobec osób z nadwagą w społeczeństwie. Jednocześnie patrząc na zdjęcia modelek z minionego okresu będzie potwierdzać, że były to zdrowe, kobiece kształty zupełnie odmienne od tych, niezmiennie często kreowanych dziś jako ideał piękna. Zanim zaczniemy oceniać warto odrzucić wartościujące spojrzenie na pewne kwestie, które narzuca nam współczesność i wziąć pod uwagę fakt, że dla wielu moda była wtedy narzędziem do walki ze współczesną polityką. Rodzajem buntu przeciwko panującemu systemowi. Komunistyczne władze zwalczały ją, bo zbyt mocno kojarzyła się z Zachodem. Projektanci, którzy nie chcieli być w żaden sposób utożsamiani z aprobatą dla władzy i stylem działaczy partyjnych przenosili na rodzimy grunt wzorce z tej zakazanej strefy. Taka moda nie trafiała do wszystkich.



W pewnym sensie przypisywała swoich odbiorców do określonej grupy. Modelki miały zachęcać innych do włączenia się w ten świat. Nie tylko samym wyglądem, prezencją na pokazach, ale również określonym stylem życia. Jadwiga Grabowska, założycielka Mody Polskiej lubiła mawiać, że modelka powinna być z tak zwanego „dobrego gniazda”. Istotne było jej wykształcenie. Matura stanowiła wymagane minimum. Wiadomo, że bywały wyjątki, jeżeli w dziewczynie można było dostrzec nieprzeciętne warunki i duży potencjał. Ważny był nie tylko wygląd, ale coś co określało klasę modelki. PRL to był okres w którym wielu przedstawicieli tzw. inteligencji bardziej lub mniej bezpośrednio zajmowało się modą. Część z nich chciała sprzeciwić się systemowi, druga część go wesprzeć.

Można się pokusić o stwierdzenie, że gdyby ikony modelingu z czasów Mody Polskiej debiutowały na castingach na początku XXI wieku, od wielu profesjonalistów usłyszałyby hasło „jesteś za gruba”. Wymiary, uznawane za idealne również nieco później, pod koniec minionego stulecia, w czasach, kiedy modelkami często zostawały zwyciężczynie konkursów piękności zaczęto uznawać za dobre dla aktorek filmowych, prezentowanych na okładkach czasopism, ale niekoniecznie kobiet prezentujących stroje najlepszych projektantów na wybiegach. Z każdym rokiem coraz rzadziej stawiano znak równości pomiędzy określeniami „Miss” i modelka. Choć karierę zaczynały tak m.in.: Renata Gabryjelska czy Bogna Swarowska, dzisiaj tytuł nie jest już równoznaczny z szansą na kontrakt z dobrą agencją i udział w pokazach mody.



Przynajmniej nie w tej roli. Czy większy wpływ ma na to inny niż kiedyś, bardziej komercyjny charakter tego typu konkursów, kreujących raczej celebrytów niż przedstawicielki modelingu czy zdeklasowanie dawnych kanonów urody przez kształtujący się nowy sposób postrzegania piękna ciężko powiedzieć, ale ta zmiana z pewnością już dziś ma duże znaczenie dla tego kogo obecnie i w najbliższych latach będziemy widzieć na wybiegach. Pozornie może się wydawać, że pomiędzy okresem, kiedy królowały Małgorzata Niemen, Agnieszka Maciąg czy Katarzyna Butowtt, a czasami Zuzy Bijoch, Magdy Frąckowiak i Oli Rudnickiej w kwestii modelingu niewiele się zmieniło. Nadal ważne jest ciało idealne dla swoich czasów, osobowość i wytrwałość. Nadal słyszymy tyle historii o modelkach, że coraz rzadziej szukamy prawdy w opowieściach o jedzeniu wacików i myleniu kokainy z coca-colą. Nadal dla wielu dziewcząt taka praca jest jedynie przystankiem w drodze do branży filmowej czy muzycznej. Nadal słyszymy sprzeczne opinie o zarobkach modelek, które w rzeczywistości są bardzo zróżnicowane, bo wszystko zależy od agencji do której należy, jej pozycji w rankingach, rozpoznawalności czy nawet wypłacalności organizatorów pokazów. Jak i od wielu innych czynników, o których wiedzę należałoby zgłębić, żeby wydawać obiektywne sądy, ale że łatwiej jest publikować zestawienia na podstawie statystyk przeprowadzonych na potrzeby potwierdzenia tezy „zarabiają za dużo lub zarabiają za mało” na grupie osób, których liczba sprawia, że nie są one wiarygodnym źródłem to niestety prawda zawsze będzie gdzieś po środku. Nadal czytamy, że te dziewczyny są nierealne, za chude, zbyt grube, brzydkie albo zbyt piękne. Nadal często bardziej niż na ocenie samych ubrań skupiamy

się na osobach, które je prezentują. Jednak ta niezmiennosc sytuacji to tylko pewna fasada. Zgłębiając temat zauważymy, że obowiązujące kanony urody powoli przestają być już tak rygorystyczne. Na wybiegach coraz częściej pojawiają się osoby, które nie mają wymiarów czy wyglądu modelki w tradycyjnym, zakorzenionym gdzieś głęboko w umysłach polskiego społeczeństwa rozumieniu tego zwrotu. Kiedyś wzorzec był jeden, modelki pod względem wymiarów były do siebie podobne, często też uderzało ich klasyczne, jednoznaczne piękno. Dzisiaj szukamy jego nieoczywistego wymiaru. Modelka z tatuażem, łysą głową czy chorobą skóry nikogo nie dziwi. Przekroczyliśmy już granicę, która jeszcze nie tak dawno wydawała się nie do przejścia. Jeszcze chwilę temu modelki rzadko farbowały włosy, ich ciała musiały być nieskazitelne, żadne modyfikacje nie wchodziły w grę. Pewne ograniczenia były wpisane w ten zawód. Ciekawa jest też kwestia wieku w którym dziewczyna powinna zaczynać karierę. W artykułach i ogłoszeniach sprzed kilku lat można przeczytać, że najlepszy moment następuje, gdy dziewczyna kończy podstawówkę, a w przypadku, kiedy wykazuje duże zdolności to nawet, kiedy ma 12-13 lat. Górna granica to czas, kiedy osiąga pełnoletniość. Choć na przykład w latach dziewięćdziesiątych Małgosia Bela debiutowała w wieku 20 lat. Chwilę później nadszedł czas, kiedy wymiary 90-60-90 i zbliżone do nich przestały być atrakcyjne. Modelki nie nosiły już rozmiaru 36, częściej 34, a nawet 32, choć wśród potencjalnych odbiorców przeważało 38. Zgodnie z panującymi trendami projektanci zaczęli szyć tak, że w modelach pokazowych najlepiej wyglądały dziewczyny, którym brakowało tzw. kobiecych kształtów, a co za tym idzie te, których

sylwetka nie rozwinęła się jeszcze w pełni co siłą rzeczy wpłynęło na obniżenie progu wiekowego. Dziś na szczęście coraz częściej wracamy do tego, co miało miejsce zanim coraz niższe liczby zaczęły rządzić światem polskiej mody i można znaleźć ogłoszenia w których poszukiwane są kandydatki minimum szesnastoletnie, a coraz więcej osób opowiada się za wprowadzeniem ograniczeń wiekowych, sugerując podniesienie dolnej granicy do osiemnastego roku życia. Rzadkością też stało się podejście zakładające, że modelka po 25 urodzinach staje się dla branży mody nieatrakcyjna.

Granice zaczynają się zacierać, projektanci przestają przechodzić ze skrajności w skrajność, szukają nowych rozwiązań nie po to, żeby szokować, a żeby podkreślić różnorodność społeczeństwa. Czerpanie pewnych wzorców z Zachodu nie brzmi w tym przypadku jak zarzut. Choć pomiędzy debiutem Małgosi Beli, a zeszłorocznymi debiutantkami z potencjałem opinię na temat modelingu w Polsce troszkę zszargały telewizyjne talent show pokazujące tę społeczność w niezbyt korzystnym świetle po których bałagan będziemy pewnie sprzątać jeszcze przez długi czas to jesteśmy w tej kwestii w bardzo dobrym momencie. Dużo bliżej założeń Worth'a, który przecież nie dążył do stworzenia uniwersalnego ideału piękna, nie planował dzielić kobiet ze względu na ich atrakcyjność, a tylko chciał zaprezentować jak najlepiej swój produkt. Wykorzystując urodę kobiet podobnych do jego klientek. Skrajnie różnych postaci, które w jego kreacjach stały się piękne.



SPRING GIRLS



Zdjęcia: *Sandra Gałka*
Modelki: *Karolina Babińska,*
Patrycja Migiel, Marta
Greszta, Marta Knaflewska,















ZDJĘCIA
Karolina Hanulak

























Klepanie cudownych olejków
bez dbania o emocje,
nie jest do końca sensowne



Jeśli nie jesteś dla siebie dobrym, dbającym
przyjacielem, jeśli zamartwiasz się, żyjesz
w napięciu, zbyt dużo od siebie wymagasz
(lista jest długa), to widać na naszych
buziach i oczach.

Z Rachelą Dobrzańską, właścicielką kosmetycznej marki
Kobalt, rozmawia Karolina Suboczewska.

Niedawno na twoim facebooku pojawił się post wyjaśniający dlaczego na jakiś czas zniknęłaś z Kobaltowej strony. Kobalt rusza z nową siłą? Czego możemy się spodziewać?

Przede wszystkim nowa siła to dodatkowa głowa pełna pięknych pomysłów. Przyłącza się do mnie bardzo kreatywna młoda dama. Chcemy stworzyć nową, spójną komunikację wizualną. Będą nowe opakowania, nowa strona i powstaną też nowe linie kosmetyków. Ten post to było dla mnie spore wyzwanie i czułam przed nim duży opór. Przez ten czas gdy mnie „nie było”, bardzo dużo się u mnie zmieniło i ruszyło. Czuję, że na takie same zmiany i rozwój zasługuje moja marka i moi klienci. Bardziej niż kiedykolwiek wiem, czym chcę się dzielić i jak ma to wyglądać.

Za Kobaltem kryje się filozofia marki, która ma łączyć to co w środku z tym co na zewnątrz. Mogłabyś w kilku słowach powiedzieć skąd wzięło się twoje podejście?

Przeczytałam ostatnio bardzo ciekawy komentarz, że polskie kosmetyki naturalne nie umywają się do tych zagranicznych – że są dobre, ale design nie taki, brzydkie opakowania i dziecinne fonty. O ironio, ktoś zaprzeczył temu komentarzowi podając jako kontrprzykład między innymi Kobalt. Według mnie, jak zaczynałam w Polsce rzeczywiście trochę tak było, a ja chciałam inaczej.

To jak czujemy się wewnętrznie wpływa na nasz wygląd?

O mój Boże, tak! Na nic zda się znajomość wszystkich kroków pielęgnacji i super kosmetyki, jeśli nie będziemy pielęgnowały swojego wnętrza. Według mnie klepanie cudownych olejków pod oko bez medytacji i dbania o swoje emocje nie jest do końca sensowne. Jeśli nie jesteś dla siebie dobrym, dbającym przyjacielem, jeśli zamartwiasz się, żyjesz w napięciu, zbyt dużo od siebie wymagasz (lista jest długa), to widać na naszych buziach i oczach.

Jak przebiega proces powstawania Kobaltowych kosmetyków?

Wszystkie kosmetyki robię sama, ręcznie, w małych partiach, czasem pod zamówienie. Dla mnie poza całą procedurą, (czyli zapisywaniem krok po kroku co zrobiłam, oznaczaniem partii, odpowiednim przechowywaniem kosmetyków i surowców itd.), bardzo ważna jest intencja, z jaką przygotowuję kosmetyki i dane partie. Nieraz jest tak, że gdy jestem w złym stanie psychicznym, nie zabieram się do „produkcji”. Wybieram wtedy, aby zająć się sobą, popracować z emocjami i wrócić w lepszej formie, by móc również na poziomie energetycznym dać w moich kos-

metrykach to, co najlepsze we mnie. Dużo miłości w to wszystko wkładam, chcę, by moje klientki to czuły i używając tych produktów czuły miłość do siebie.

Świadoma pielęgnacja powoli staje się ważnym tematem, mamy coraz większy dostęp do wiedzy na ten temat. Funkcjonuje nawet zawód skin coacha. Jakie błędy w pielęgnacji popełniają Polki? Jest coś, co nieświadomie robimy nagminnie i mogłabyś nam teraz powiedzieć – przestańcie?

Nie chcę wytykać błędów innym. Ale czuję brak akceptacji - tak mi się wydaje, że chcemy jako Polki być trochę bardziej azjatyckie albo amerykańskie niż polskie. A przecież żyjemy w innych warunkach, nasze skóry mają inną strukturę (niż Azjatki na przykład). Dla mnie ważne jest, by skupić się na tym co mamy i jakie jesteśmy, zaakceptować to i pracować z tym, co mamy. Nie próbować na siłę dążyć do wyglądu skóry, jakiego mieć nie będziemy i przez to stosować coraz to bardziej skomplikowane metody pielęgnacji. Nie podłączajmy się pod trendy czy złoty środek, bo takiego nie ma. Każda z nas jest inna i ma inne potrzeby. Ja na przykład pogodziłam się z tym, że moja skóra magicznie nie zmieni koloru na oliwkowy i nie będzie grubsza, a kiedyś myślałam, że da się to zrobić. Mam cerę płytko naczynkową, z przebarwieniami, czasem do tego trądzik i cienie pod oczami i super z tym pracuję, dobieram pielęgnację odpowiednią dla mnie.

Uważasz, że w Polsce istnieje kultura pielęgnacji, taka jak np. w krajach Azjatyckich?

Właśnie nie, nie istnieje - a mogłaby. Bardzo nie chciałabym, by istniała taka jak azjatycka. To co się dzieje w tej branży jest dla mnie przerażające - to potężny biznes żerujący na naiwności młodych dziewczyn i ich chęci przynależności, ale to chyba temat na dłuższą rozmowę. Wyobrażam sobie, że są załączki kultury pielęgnacji, ale obawiam się, że w tak zwanym mainstreamie może nie pójść to w najlepszą stronę. A można by wykorzystać trochę wiedzy naszych babć, zapoznać się lepiej z dostępnymi dobrami natury i rozwiązaniami gotowe. Ważne jednak, żeby robić to wszystko w zgodzie ze sobą, a nie panującymi trendami.

Czy jako dziecko interesowałaś się kosmetykami?

Moją mamę bardzo dziwiło moje wielkie zainteresowanie tą sferą, ponieważ ona zawsze była i jest do tej pory maksymalną minimalistką, a ja przechodziłam różne fazy fascynacji kosmetykami - tymi kolorowymi i pielęgnacyjnymi. Takie zupełnie pierwsze wspomnienie to chyba dobrze znany krem Nivea, który, mając chyba 3, może 4 latka próbowałam zjeść.

A sama jakich kosmetyków używasz? Jak wygląda Twoja codzienna pielęgnacja?

Używam głównie swoich i jeszcze jednej polskiej marki - Okoro. Rano niewiele robię: przemywam twarz zimną wodą, smaruję olejkami i kwasem hialuronowym. Wieczorem poświęcam swojej buzi i szyi więcej uwagi, myję twarz mazidłem z ula firmy Okoro (cudowny kosmetyk na bazie miodu). Długo masuję buzię i szyję, czasem zostawiam mazidło na 10-15 minut w formie maski. Zimą ma zbawienny wpływ na moją przesuszoną i popękaną skórę na nosie. Przed snem używam na zmianę któregoś z moich olejowych serum (teraz Rose&Geranium) albo nagietkowego mazidla, którym smaruję przy okazji całe ciało.

Tematem przewodnim nowego numeru naszego magazynu jest komfort. Masz jakieś sprawdzone przestrzenie komfortu, rytuały albo czynności, które Cię uspokajają i wyciszają? Jaki jest Twój przepis na wewnętrzny komfort?

Medytacja w bardzo różnej formie, czasem wyciszenie przy zapachu Palo Santo z muzyką medytacyjną w tle, czasem przy dźwiękach odkurzacza podczas domowych porządków, jeszcze innym razem na parkiecie w klubie pełnym ludzi lub w kolumbijskiej dżungli na trawie. Ale czuję, że ciągle robię tego za mało. No i oddech - kiedyś wykorzystywałam świadome oddychanie tylko do walki z bólem, teraz poza prowadzeniem Kobaltu zawodowo zajmuje się pracą terapeutyczną z oddychaniem holotropowym.

Gdybyś miała wybrać jeden kosmetyk, bez którego czujesz się "niekomfortowo" – co by to było?

Mazidło nagietkowe, jestem od niego uzależniona – a właściwie moje łydki są. Zdarzają się dni, kiedy w pośpiechu zapominam po prysznicu nasmarować nim łydki. Pół biedy, jeśli zorientuję się w domu, ale gdy przypominę sobie o tym poza nim, nerwowo co kilka minut zerkam na moje łydki i gładzę je ręką ze smutną miną.

Kobalt w sieci:

facebook.com/kobaltskincare/

instagram.com/kobalt.naturalskincare/



jak sobie pościelesz

Justyna Mysior-Pajęcka

W przeciągu ostatnich kilku lat zdecydowanie wzrosło zainteresowanie naturalnymi kosmetykami czy ubraniami wykonanymi z wysokiej jakości tkanin. Zaczęliśmy być bliżej przyrody niż jeszcze kilka chwil temu, chętniej spędzać weekendy poza miastem, kupować ekologicznie uprawiane warzywa. A skoro zależy nam, aby żyć w zgodzie z naturą, warto odpowiedzieć sobie na pytanie czy na pewno żyjemy w zgodzie ze swoim ciałem? Bo skoro 1/3 życia przesypiamy to czy rzeczywiście robimy to w odpowiednich warunkach i przywiązujemy należyłą uwagę do tego, żeby odpowiednio się przygotować na tę codzienną okoliczność. I nie mam tu na myśli odpowiedniej grubości materaca ani tego czy na chwilę przed snem można zjeść posiłek, ani nawet tego w czym dobrze jest kłaść się do łóżka (choć swoją ulubioną piżamę z Le Songe lubię tak bardzo, że nigdy w niej nie spałam i noszę ją na co dzień). Pomyślmy o kołdrze. Tej, która rano nie chce nas wypuścić z łóżka, a w nocy pilnuje, żeby nie zmarzły stopy. I o tym jak ją ubieramy. Chyba większość z nas wie, że najlepiej kupować pościel z naturalnych surowców. Jeżeli oprócz pewności co do dobrego składu, chcesz mieć świadomość, że jest to polski produkt, wykonany w odpowiednich warunkach, koniecznie sprawdź te marki.

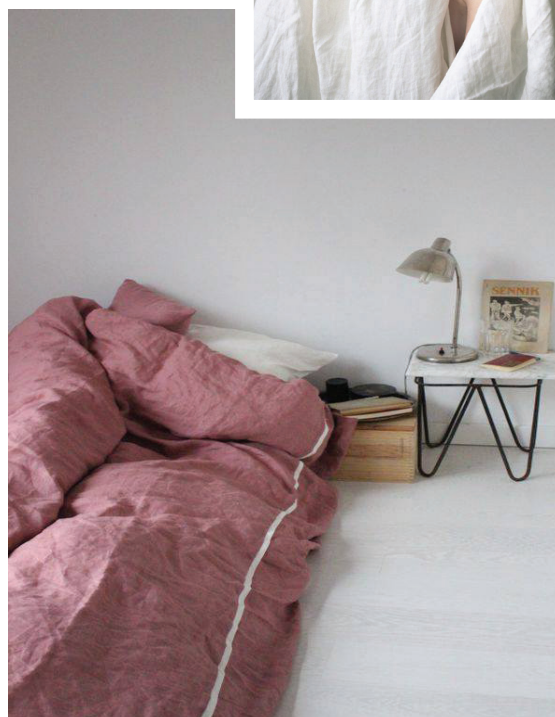
Łyko jak piszą na swojej stronie założycielki marki: „W naszym odczuciu piękno tkwi w prostocie, a jakość w użytych materiałach. Dlatego wybieramy szlachetny len, w nowoczesnym zmięczonym wydaniu i rezygnujemy ze wzorów”. Ich produkty to wręcz spełnienie marzeń każdego minimalisty. Brak nadruków szczególnie cieszy w przypadku kolekcji dziecięcej, stanowiącej ogromną konkurencję dla wszechobecnych na rynku bajkowych motywów. Równie konkurencyjny może być powracający do łask len dla królującej od wielu lat bawełny, która dominuje jako surowiec wykorzystywany w produkcji pościeli. Jeżeli komuś do zakochania w rzeczach z metką Łyko nie wystarcza szeroka gama jego właściwości to zdjęcia, które dziewczyny wykorzystują do promocji marki z pewnością sprawią, że trudno nie dodać ich pościeli, kimona czy kuchennych ręczników do własnej listy życzeń.

Zajrzyjcie na instagram marki:

[instagram.com/lykowarsaw](https://www.instagram.com/lykowarsaw)

Produkty dostępne tutaj:

lykowarsaw.pl



Cotton Badger - także przypadnie do gustu zwolennikom białej pościeli i nawiązań do polskiej przyrody. To produkty wykonane z ręcznie stemplowanego płótna bawełnianego, również z łódzkich manufaktur. Zachwyca piękny kolor wzorów, ewidentnie zaczerpnięty z natury i rozczulająca notka opisująca działania Cotton Badger jako historię borsuka przemierzającego przez las. Widać w tych projektach ogromną pasję, warto więc na chwilę zanurzyć się w ten świat, otworzyć katalog, pokochać paprociowe stemple (czarne są piękne, mój faworyt), a później już tylko zanurzyć się w tę pościel.

Zajrzyjcie na instagram marki:

[instagram.com/cotton_badger](https://www.instagram.com/cotton_badger)

Produkty dostępne tutaj:

cottonbadger.com



My Alpaca - ekskluzywne, ręcznie wykonane, całoroczne kołdry, które zachwycają wykończeniem i mają wiele bardzo pożądanых właściwości. Wypełnienie z alpakowego włókna, obszycie z mieszanki naturalnej bawełny i bambusa odpowiadają za dostosowanie się kołdry do zmian ciepłoty ciała, jak również sprawiają, że jest przyjazna alergikom i astmatykom. A przy tym piękne, na co wpływa ręczne pikowanie. Dostępne zarówno w standardowym dorosłym rozmiarze jak i w wersji dziecięcej. Producent zapewnia, że są równie miękkie jak sama alpaka, a poza tym można je ubrać w pościel wymienionych wcześniej marek. Dużym ułatwieniem dla klientów jest możliwość skorzystania z pomocy wirtualnego doradcy w wyborze odpowiedniego dla nas modelu.

Zajrzyjcie na instagram marki

[instagram.com/my_alpaca](https://www.instagram.com/my_alpaca)

Produkty dostępne tutaj

myalpaca.eu/pl



Las i Niebo – to tekstylia, dekoracje, zakładki do książek i dużo więcej, ale skupmy się na pościeli. Małgorzata Gibas-Grądzman przy pomocy urokliwych rysunków przenosi na łódką bawełnę fragment polskiej przyrody, co sprawia, że możemy obudzić się wśród ptaków, liści wiązu czy lipy nawet w samym środku mroźnego dnia, nie umierając z zimna. Korzysta z certyfikowanych tkanin, do pakowania nie używa plastikowych opakowań, wszystko w trosce o środowisko. Szczególnie warta uwagi jest kolekcja „Kwiaty Polne”, a przede wszystkim dwustronna pościel, której szmaragdowe tło zdobią drobne, kolorowe roślinki. Taki widok o poranku nie może nastrajać inaczej niż pozytywnie. Należy też docenić produkty stworzone z myślą o dzieciach, które mimo nagromadzenia barw nie mają infantylnego charakteru.

Zajrzyjcie na instagram marki:
[instagram.com/lasiniebo](https://www.instagram.com/lasiniebo)
 Produkty dostępne tutaj: lasiniebo.pl

White Pocket - to również marka od początku do końca tworząca w Polsce z certyfikowanych tkanin wysokiej jakości. Założyciele podkreślają jak wielką wartość stanowi dla nich poszanowanie praw człowieka, etyczna strona pracy nad własnym produktem. Co godne uwagi, każdy zakup wspiera Stowarzyszenie „Piękne Anioły”, a zapisując się do newslettera otrzymujemy króciutki poradnik zdradzający 35 sposobów na dobry sen. Jeżeli należysz do fanów bawełnianej satyny i subtelnych, ale nie nudnych wzorów na białym tle to z pewnością tę pościel zechcesz zabrać do sypialni.

Zajrzyjcie na instagram marki: [instagram.com/whitepocketshop](https://www.instagram.com/whitepocketshop)
 Produkty dostępne tutaj: whitepocket.pl



FUTURE FACES

Po krótkiej przerwie wracamy w „Catwalku” z subiektywnym (bo, jak słusznie zauważył Éric-Emmanuel Schmitt, nie ma nic bardziej względnego niż piękno) przeglądem future faces, czyli zestawieniem nowych (choć nie tylko) twarzy polskiego modelingu, których potencjał może niebawem zaprowadzić je na okładki cenionych czasopism modowych oraz wybiegi najlepszych projektantów.

W lutowym numerze stawiamy na naturalność i niepowtarzalność, ale także na klasyczne piękno.



Ola Kursa
EC MANAGMENT
Zdjęcia: ecmanagement.net



Mia

GAGAMODELS

Zdjęcia: gaga.pl



Natie

UNCOVER MODELS

Zdjęcia: uncovermodel.com





Anna Maria

GAGAMODELS

Zdjęcia: gaga.pl



Laura

MILK

Zdjęcia: madebymilk.pl



NOUVELLE VAGUE

Zdjęcia: Ludmiła Szulińska / Lud.miła,
facebook.com/ludmilaszulinska/

Stylista: Dymitr Liziniewicz / XTAL,
facebook.com/XTALart/

Modelka: Marianna Linde / PWST



















KOMFORT TRZEŻWEGO SPOJRZENIA NA ŚWIAT

Justyna Mysior-Pajęcka

Kiedy zapadła decyzja o tym jaki będzie temat przewodni tego wydania Catwalku zaczęłam zastanawiać się czym wybrany przez nas komfort jest dla mnie. W pierwszej kolejności pomyślałam o modzie, o ubraniach, które tworzą moją listę „comfort fashion”, później myślałam o miejscach, jedzeniu, o drobnych rzeczach, które zapewniają wewnętrzny spokój. Aż przyszło mi do głowy, że może warto wspomnieć o czymś innym niż to co namacalne, a co dla mnie jest niezwykle ważne i w pewnym stopniu pomogło odzyskać życiową równowagę. O komforcie odmawiania. Komforcie rezygnacji albo ograniczenia czegoś co nie jest niezbędne do życia. Na własnych zasadach.

Prawie dziewięć lat temu zrezygnowałam z jedzenia mięsa i była to jedna z najlepszych decyzji jakie kiedykolwiek podjęłam. Zdecydowałam się na to z dnia na dzień. Bez przygotowania i nigdy nie zmieniałam zdania. Wiem, że gdybym zaczęła analizować pewnie nigdy bym do tego nie doszła, obawiając się społecznej reakcji. Jakoś wytrzymałam częste docinki o jedzeniu trawy, niepotrzebne pytania, które choć wracają coraz rzadziej pewnie nigdy nie ustaną całkowicie. Przyzwyczaiłam się. Nigdy nie myślałam o wegetarianizmie jako wyrzeczeniu ani jako treningu silnej woli. To, że nie jem mięsa stało się na tyle naturalne, że zupełnie wyrzuciłam z pamięci jego smak, a żaden komentarz nie sprawił, że postanowiłam cokolwiek zmienić. Uczucie komfortu decydowania o własnej diecie nawet jeśli ktoś zagląda ci w talerz jest czymś fantastycznym. Nie tak dawno postanowiłam jednak troszkę potrenować swoją wolę i ze sobą zawalczyć. Myślałam, że będzie to równie proste jak rozstanie z mięsem. Byłam zaskoczona tym, jak trudno było czasem powiedzieć „nie”. Moje nowe postanowienie powstało z przypad-

ku. Tak się zdarzyło, że w gabinecie lekarskim usłyszałam zdanie „Pani Justyno, pije pani alkohol? Bo trzeba będzie powstrzymać się przez parę tygodni”. Pomyślałam „skoro muszę”, a kiedy minął narzucony termin abstynencji stwierdziłam, że chcę sprawdzić czy dam radę wytrzymać przez pół roku. Kiedy mi się udało, uznałam, że rok bez alkoholu brzmi dużo lepiej. Zainstalowałam aplikację Sober Time, której używała Mickey Dobbs w „Love”, jednym z moich ulubionych seriali, żeby łatwiej było śledzić postępy. Na początku było sporo momentów, kiedy myślałam sobie, że to całkowicie bez sensu, żeby się aż tak ograniczać. Przecież naprawdę mało piłam. Niechętnie imprezowałam, unikałam klubów, a jedna czy dwie, maksymalnie trzy butelki wina tygodniowo to nie jakiś niepokojący wynik. Czasem zastanawiam się co właściwie chciałam sobie udowodnić, czy miało to sens. Bo czy to, że czuję satysfakcję z tego, że potrafię powstrzymać się od alkoholu jest czymś z czego należy się cieszyć? Czy nie przesadzam? W końcu to nic nadzwyczajnego. Nie walczyłam przecież z nałogiem. Czy w takim razie mam prawo czuć dumę? Dzisiaj, kiedy mija zakładany rok i wiem już, że mój mały eksperyment się udał trudno mi znaleźć odpowiedzi. I choć jeszcze nie jestem gotowa na całkowitą rezygnację z alkoholu to jednak mam pewność, że była to dobra decyzja. Ostatni rok był dla mnie bardzo dziwny. Moje ciało zaczęło wysyłać niepokojące sygnały. Nie pamiętam już ile nocy przeplakałam z bólu i bezsilności. Ile razy czułam się strasznie żałośnie, wiedząc, że moje problemy są niczym w porównaniu z tym, co spotyka innych, również tych, których dobrze znam. Nie pamiętam też ile razy kłamałam przed sobą i bliskimi mi ludźmi, że przecież wszyst-

ko u mnie dobrze, żeby tylko nie martwić ich sobą, bo każdy ma swoje życie z którym musi sobie radzić. Ale przede wszystkim, żeby znowu nie czuć się jak totalna egoistka, zawracając komuś głowę tym jak się czuję. Czułam ten bezsensowny ból całego ciała i ciągle strach o to, że nie dożyję do następnego poranka, mimo pewności, że wszystkie wyniki badań są zadziwiająco dobre. Częstotliwość występowania niepożądanych objawów, stanów emocjonalnych, których nie byłam w stanie kontrolować była proporcjonalna do liczby tych dobrych dni, godzin, momentów pełnych euforii, pozytywnych uczuć, takich w których mogłam powiedzieć, że czuję się komfortowo. Gdybym zamiast uczyć się radzić sobie z niechcianymi emocjami, wiedząc, że na efekt trzeba poczekać uspokajała je przy butelce wina, uciekając przed nimi i zasypiając spokojnie mogłabym dziś mieć problem z funkcjonowaniem bez niej. Nie mówię, że alkohol sam w sobie jest zły. W ciągu roku bez niego nauczyłam się jednak, że są sytuacje w których jest po prostu zbędny i takie w których sięganie po niego może stać się niebezpieczne.

Co zawsze mnie ciekawiło to społeczne przyzwolenie na dość intensywne picie wódki, wsiadanie za kierownicę po jednym kieliszku, żarty z alkoholizmu i tolerowanie hasła w stylu „ze mną się nie napijesz”, kiedy ktoś kategorycznie odmawia. Wiele osób dziwniej patrzy na osoby, które deklarują się jako niepijące niż te, które pięć razy w tygodniu wracają z imprezy niczym Britney Spears w 2007. Zdarzyło mi się słyszeć głupie komentarze w sklepie, kiedy prosiłam o bezalkoholowe wino. Durne docinki „nie ufam ludziom, którzy nie piją, hehe”. Bawiły mnie trochę współczujące spojrzenia i hasła „jaka Ty jesteś biedna”, kiedy mówiłam, że nie chcę piwa, bo zaplanowałam roczną przerwę. Cholera, to nie jakiś przymus, sama o tym zdecydowałam. Przecież nie zabiłby mnie łyk dobrej whiskey. Całe szczęście nie zdarzyło mi się, żeby ktoś usilnie namawiał mnie, żebym złamała postanowienie. Ale od większości osób słyszałam „no, ja bym nie mógł”. Myślę, że to nieprawda. Najbardziej przykre wnioski, które wyciągnęłam podczas mojego trzeźwego roku to fakt, że niektórzy ludzie z którymi wydawało się, dobrze mi się rozmawia wcale nie są ciekawi, kiedy odstawiam kieliszek wina. Jasne, możemy poartować, wymienić kilka anegdotek, ale ta obecność alkoholu zawsze sprawiała, że nasze relacje wydawały się głębsze. Dyskusje ciekawsze. Emocje bardziej prawdziwe. Poza tym sprawiał on, że pełne jadu słowa wypowiedane w odniesieniu do innych osób trudniej było wyłapać z treści całej rozmowy i jakoś wypadały z pamięci. A niestety, to czego dowiadujesz się o kimś na podstawie tego w jaki sposób wypowiada się o innych może zupełnie zmienić twoją opinię na temat waszej znajomości. Jest oczywiście



druga strona medalu. Ta lepsza. Przekonałam się kto w moim otoczeniu, nawet przy obecności promili we krwi jest niesamowicie wartościowym człowiekiem. W pewnych przypadkach byłam zaskoczona, w innych rozczarowana. Bardziej trzeźwe spojrzenie na otaczającą rzeczywistość to, choć pewnie najważniejsza to nie jedyna rzecz, którą zyskałam. I nie mówię wcale o zaoszczędzonych pieniądzach czy zdrowszej wątrobie. Często to drobne rzeczy jak zapamiętany na zawsze smak potraw niezaburzony zbyt dużą ilością wina, niezmacone alkoholową wizją wspomnienia z wakacji. Ale są też te ważne rzeczy jak pewność, że jestem na tyle przytomna, żeby wiedzieć, co mam zrobić, kiedy obcy facet próbuje mnie pocałować na ulicy. Albo świadomość, że nie potrzebuję wina, żeby pozwolić się choć trochę poznać ludziom, których widzę pierwszy raz. I że ono nie sprawi, że stanę się ciekawsza, mądrzejsza, ładniejsza, a co najwyżej pijana. Dzisiaj mam pewność, że w zasadzie nie ma sytuacji, kiedy bym go potrzebowała, co najwyżej mogę mieć na nie ochotę. Chyba każdy z nas nie zawsze ma ochotę sączyć drinki, wznosić toasty czy biegać na stację po wódkę, bo jedna się skończyła, a przecież impreza trwa. No i jak tak bez alkoholu? Wiem, że ostatnią rzeczą jakiej się boję to fakt, że ktoś mi powie, że jestem sztywna, kiedy rzucę „wybaczenie, nie dzisiaj”. Wiem również, że nie mam się czego wstydić, bo wolę spędzać piątkowy wieczór z Netflixem niż z kieliszkiem przy barze. Dlatego polecam każdemu zrobić sobie czasem przerwę, żeby spojrzeć na temat z dystansu. Prawdopodobnie tylko niewielki odsetek zapyta „z nami się nie napijesz?”, inni to zaakceptują. Tymi pierwszymi widocznie nie warto się przejmować.

JĘZYKIEM MODY MÓWIA FEMINISTKI

Anna Pajęcka

Mówienie o feminizmie językiem mody nie rozpoczęło się – jak mogłoby się wydawać – w 2016 roku wraz z pojawieniem się koszulek z hasłem „We should all be feminist” na pokazie Diora. Nie rozpoczęło się również podczas pokazu Chanel w 2014 roku, kiedy Karl Lagerfeld urządził na wybiegu feministyczną demonstrację, chociaż jemu samemu do feministy raczej dalej niż bliżej.

Te dwa duże wydarzenia, którymi zainteresowanie dodatkowo podbiło to, że ruchy kobiece zyskują na widoczności w ciągu ostatniej dekady, to sięgnięcie do rdzenia tego, czym mogła być moda, kiedy rozpoczęła swoją rewolucję – wraz z pierwszofalową Coco Chanel, która postanowiła uwolnić kobiety z konieczności noszenia gorsetów i sukien, przez drugą falę feminizmu, mającą swój początek pod koniec życia projektantki, kiedy Jane Lurie i Marziel Rios w 1972 roku otwierają w Nowym Jorku feministyczną księgarnię. Sprzedają tam koszulki z hasłem „The future is female”, które wprowadzają feministyczne komunikaty poprzez modę do szerszego obiegu. I zaczyna się.

Wielka moda też chce choćby zaakcentować swój udział w kobiecej rewolucji, która pod koniec lat sześćdziesiątych wpisuje się w szereg zmian społecznych. Pięćdziesiąt lat temu, w 1968 Yves Saint Laurent, niedarzony wielką sympatią przez polską carycę mody, konserwatywną Jadwigę Grabowską, przepisuje męski strój na kobiety i nawiązuje do słynnego „palenia staników” uwalniając piersi przez transparentne

tkaniny. Nie zawsze dostrzegamy subtelne podobieństwo z koszulami dostępnymi dzisiaj w sieciówkach, ale to właśnie pod koniec lat 60. YSL ubrał w nie modelki, dokładając garnitury w ideologicznym geście. Dom mody tego wielkiego projektanta w 2013 roku powtórzył ten gest odwołując się do momentu sprzed pięciu dekad i jednej z najbardziej kultowych kolekcji, które powstały w modzie na przestrzeni lat. Od gorsetów po nagie piersi – w niedługim czasie moda uczestniczy w odwilży obyczajowej zalewającej cały świat. Nagie piersi w kolekcji YSL są już manifestem – moda jest językiem rzeczywistości, która projektuje i czerpie z nastrojów i ideologii, udowadnia też to, o czym dzisiaj, doświadczając głównie masowego przemysłu, zapominamy – jest przede wszystkim polityczna.

Praktyki odsłaniania ciała, które w latach 60. i 70. były silnym gestem ideologicznym potwierdzającym hasło „prywatne jest publiczne”, występowały przeciw kontestowaniu kobiecego ciała jako podlegającemu porządkom estetycznym, kształtowanym przez reguły narzucone przez społeczne wyobrażenia. Dzisiaj obserwujemy pokłosie tego ruchu jako fatalne w skutkach. Kiedy ciało erotyczne było ciałem zakrytym, a to co na widoku ograniczało możliwość erotycznego fantazjowania o skrywaniu pod ubraniem, wszystko stanowiło element gry mężczyzny z kobietą. Świadome odsłanianie ciała przez kobiety zaczęło łamać te reguły. Minispódniczka stała się symbolem buntu. Z jednej strony po-

rzucenia wstydu, który krył się za własną seksualnością, a z drugiej, jako niepolityczne narzędzie, które z buntem nie miało nic wspólnego, wychodziło naprzeciw ówczesnej „normie”, czyli postrzeganiu kobiet zawsze przez pryzmat seksualności. Minispódniczka została na granicy dwóch porządków w feministycznej walce. Ani kobiece garnitury ani oversizowe ubrania, które złamały świętą zasadę „kształtów”, nie wywołały takiej rewolucji. Ona kiedyś, to taki dzisiejszy selfie-feminizm.



Yves Saint Laurent, 1968

Feministyczny przemysł modowy

Dziedzictwo Diora, Coco Chanel, czy Yves Saint Laurenta udowadnia nam dzisiaj, że kiedy kształtowała się pierwsza i druga fala feminizmu, moda miała swój udział w projektowaniu wizualnego wymiaru rewolucji. Jej współczesna wersja nie ma z tym zbyt wiele wspólnego, jeśli bierze się za to przemysł. Najpopularniejsza sieciówka H&M w ostatnich tygodniach zasłynęła zdjęciem czarnego chłopca w bluzie „Coolest Monkey in the Jungle” (a już od dawna jest znana z łamania praw pracowniczych według raportów Human Rights Watch), pozwoliła sobie na wyprodukowanie bluz z napisem „G’rl Power” nie mając pojęcia, że reprodukuje pusty slogan, za którym, w przypadku tej marki, nic nie stoi. G’rl Power, jako hasło określonego ruchu polityczno-społecznego, którego rdzeniem jest równość i solidarność, nie może być reprezentowana przez podmiot, który takie idee

nagminnie łamie, ale nie widzi problemu w czerpaniu profitów z symboli, które ten ruch reprezentują. Z kolei ACNE Studio wyposażyło swoje modelki i modelki w bluzy z hasłami „Gender Equality”, „Radical Feminist” albo „Women Power”, każąc swoim klientom i klientkom płacić za nie od 200 do 650 dolarów, co jest dość drogim narzędziem do głoszenia światu swoich poglądów. Twitter lub facebook są za darmo, w związku z tym wytrąca się modzie należne jej miejsce komunikowania tego, co społecznie ważne. Kiedy w latach 60. na koszulkach pojawiły się slogany „Make love not war” był to silny przekaz polityczny, który identyfikował przeciwników wojny w Wietnamie. Koszulki od zawsze stanowiły medium do komunikowania swoich poglądów.

Być może te sieciówkowe narzędzia są skuteczne. Rihanna pokazująca na Instagramie zdjęcie w koszulce z hasłem, zyskuje o wiele większy zasięg niż wszystkie manifesty i najlepsza publicystyka. Tylko zanim zaczniemy bronić populistycznych koszulek, nie zapominajmy, że przemysł i edukacja raczej nie idą w parze. Trzeba pamiętać, że feminizm to ruch społeczno-polityczny z długą, momentami okrutną historią strajków głodowych, zamykania do więzień, poświęceń i dyskredytowania aktywistek. W parze z taką historią nie idą różowe koszulki i brokatowe hasła za 600 dolarów, nawet jeśli będziemy tłumaczyć to zmianą realiów rynkowych.

„Zawsze istniał antagonizm pomiędzy modą a silnymi kobietami. To przekonanie, że kobieta musi poświęcić kobiecość, aby zdobyć autorytet, władzę i szacunek. Gdybym w to wierzył, nie robiłbym tego co dzisiaj robię”, powiedział Prabal Gurung w 2013 roku. Trzecia fala feminizmu, która kontestuje porządek odrzucenia własnej wizualności (co opisuje Naomi Wolf w „Micie urody”) zmieniła sposób myślenia, ale ta zmiana nie może być używana do tego, żeby sprzedawać odzież. Wspominana już na początku koszulka Diora z hasłem zaczerpniętym z manifestu Chimamandy Ngozi Adichie o tym samym tytule kosztuje 710 dolarów. Reprezentanci domu mody przekonują, że część zysków oddali na organizację charytatywną prowadzoną przez Rihannę – Clara Lionel Foundation.



H&M

I chociaż koszulki bronią się, bo pochodzą z kolekcji stworzonej przez pierwszą kobietę na stanowisku głównej projektantki Diora - Marię Grazia Chiuri, to przestaje mieć większe znaczenie, kiedy obserwujemy jak przemysł mody kanibalizuje pracę intelektualną badaczki i walkę tysięcy reprezentantek nurtu. Sama badaczka w wystąpieniu w New York's Strand Bookstore powiedziała, że nie ma nic przeciwko tym koszulkom, ponieważ rozumie mechanizmy, które trzeba wykorzystywać, żeby uczynić feminizm ruchem masowym. Czy akurat współczesna moda jest do tego dobrym narzędziem – trudno powiedzieć. Chociażby dlatego, że równie często co o demokratyzacji tej dziedziny kultury, mówimy o jej konserwatyzmie pod tytułem: tylko białe młodziutkie modelki w rozmiarze zero na wybiegach. W dokładnie tych koszulkach.

Dziewuchom i swoim zaangażowaniu w ruch walki o prawa kobiet. Nenukko od powstania można określić jako markę prospołeczną, a jej twórczyni bądź twórczynie nigdy nie ujawniły swoich personaliów. Local Heroes wydało feministyczny kalendarz Miss World 2017, ze zdjęciami autorstwa Zuzy Krajewskiej. Jedną ze współzałożycielek, Aretę Szpurę, w wywiadzie dla Wysokich Obcasów mówi: „Dla mnie w girl power chodzi przede wszystkim o odwagę. Światopoglądową, estetyczną, tożsamościową. (...) Feminizm zaczął się kojarzyć niewłaściwie – stał się wytarty, popowy, wygładzony. Zabrakło podkreślenia, że wygląd zewnętrzny i hasła powinny być na drugim miejscu, a na pierwszym – zawsze osobowość. Co ma wspólnego z feminizmem koszulka z girl power w Bershce? Co Zara



*Local Heroes, "Miss World 2017",
zdjęcia: Zuza Krajewska*

Na naszym podwórku

W 2016 roku tysiące Polek wychodzi na ulice w ramach Czarnych Protestów. Sama nazwa „Czarny Protest” powstała nie bez udziału mody. Poprzez PR-owe działania lewicowej Partii Razem, tysiące kobiet i mężczyzn umieściły w mediach społecznościowych zdjęcia w czarnych strojach. Jesienią tego roku wszystkie trendy zeszły na dalszy plan – kobiety nosiły czerń do pracy, na protestach, na co dzień, właśnie w geście sprzeciwu. Podobnie „pussyhat”, czyli różowa wełniana czapka z uszami kota, stała się symbolem protestów przeciwko polityce Donalda Trumpa w Stanach Zjednoczonych. Oprócz koszulek z feministycznymi hasłami tworzonymi przez marki słynące głównie z t-shirtów, językiem feminizmu opisuje się rzeczywistość także na polu tzw. mody niezależnej albo młodej polskiej mody. Właścicielka marki Nenukko w wywiadzie dla Gazety Wyborczej opowiada o kampanii, której twarzami stały się kobiety należące do ruchu Dziewuchy



Nenukko

wie o girl power, wykorzystując kobiety, żeby pracowały za dolara dziennie? To jedynie pustosłowie i marketing”. Dzisiaj na stronie marki można znaleźć szalik w typie tych meczowych, z ogromnym napisem GIRLS, ale kosztuje 89 złotych i jest bardziej uroczym, różowym, trochę ironicznym gadżetem niż próbą kapitalizowania etycznych haseł. Ania Kuczyńska zapytana przez magazyn i-d, co będzie robiła w Czarny Poniedziałek, kumulację strajków kobiet w 2016 roku, odpowiedziała: „obudźmy się i zmobilizujmy – to ważne”, wypuściła serię bluz z hasłem: „Jesteśmy wnuczkami czarownic, których nie spaliliście”. Hasło wielokrotnie pojawiało się podczas amerykańskich protestów kobiet przeciwko polityce Donalda Trumpa. Z kolei całkiem niedawno Acephala wypuściła kolekcję „Neo-Suffragette” inspirowaną strajkami kobiet z nadrukami zaprojektowanymi przez Dorotę Pawlicką, których podstawą są zdjęcia dokumentujące demonstracje. Trzeba przyznać, że projektanci marki wykazali się tu ogromną świadomością narzędzia, na którym pracują – sięgnęli do rdzenia, czasu emancypacji poprzez ubiór, przywołując te formy, które mają ogromny ładunek symboliczny, zamiast wyszywania haseł na koszulkach. Nie bez powodu Acephala konsekwentnie uchodzi za polską feministyczną markę.



Acephala

ZA KOMFORTOWO TEŻ BYĆ NIE MOŻE

Karolina Suboczewska

Poczucie komfortu to wcale nie jest łatwy temat dla kogoś, kogo łatwo łapią stany lękowe. Komfort psychiczny przecież niepodważalnie łączy się z bezpieczeństwem. Nasze dzisiejsze poczucie komfortu kształtuje się już w dzieciństwie. Moje dzieciństwo było wspaniałe. Poważnie. Niestety, mamy w Polsce pewną specyficzną mentalność, że trudno z życia wykluczyć „poczucie winy” i „wstyd” (na mapie świadomości Dawida R. Hawkinsa zaznaczone jako prawie śmiertelne poziomy). Bez tej mapy i bez przerwy odwiedzały nas przecież ciotki-klotki, szczypały nasze policzki i oceniały. Wtedy nam się to bezpieczeństwo zaburza i nagle musimy się martwić, obwiniać i wstydić. Do dziś mi zostało uczucie dyskomfortu, że w towarzystwie jestem trochę „za cicho”, a moje zainteresowania są „zbyt ambitne” albo „za mało dziewczęce”. No i że nos mam trochę „za duży”. Nigdy też nie miałam „za dobrych” ocen w szkole i o ile moja rodzina nigdy nie zrobiła mi z tego żadnej awantury, tłumacząc to moją artystyczną duszą, to po maturze zaczęły się schody. Najpierw, że za granicę – „za daleko”. Potem, że do stolicy... prywatna szkoła – „za mało ambitna”. Rzuciłam więc prywatną szkołę - jeszcze gorzej. Bo „najinteligentniejsza w rodzinie” i „taka czytana”, a nie chce na żadne studia iść. NAWET na historię sztuki. NAWET na hebraistykę. NAWET na dzien-



nikarstwo. A przecież „pisze tak dobrze”! A kuzyn siostry matki brata (...) „głupszy, a studiuje!”. Poza tym, jeśli nie pracuję studiując, to fatalnie. Jeśli pracuję nie studiując, to koniec świata... Nie odbieram czasem telefonów, żeby oszczędzić sobie nerwów. Chociaż tutaj wcale nie jest lepiej – „za gruba”, „za chuda”, „za niska”, w mieszkaniu mam „za ciemno”, na kota jestem „za mało odpowiedzialna”, „za dużo” jem glutenu, „za dużo” imprezuję przy „za szybkiej” muzyce, a „za mało” się uśmiecham. A ja właśnie

sobie myślę, że komfort to po pierwsze jest pozbycie się wstydu i poczucia winy. Po drugie, komfort to możliwość podejmowania własnych decyzji – bez dobrych i złych świerszczy na ramieniu, bez ciotki-klotki ciągnącej za ucho i bez najlepszego ucznia w klasie, któremu nigdy nie zdołaliśmy dorównać. Po trzecie, wspaniale czuć się komfortowo samemu ze sobą, ale trzeba przyznać, nie ma opcji, żeby sobie ze wszystkim samemu poradzić. Zatem komfort to puchowa kołdra, ale też czyjeś ramię (np. takie z wytatuowaną gołą babą), w które można się wypłakać i schować, kiedy cały świat uważa, że jesteśmy „za mało” i „za bardzo” i to najpewniej jednocześnie. Ale jesteśmy w sam raz. Musimy o tym pamiętać, dla własnego komfortu psychicznego.

PRZYJACIELE

Mateusz Mielczarek

Otwieram oczy. Chcę mi się Skampi na Buzaru. Mój sobotni poranek, to nieumiejętność robienia czegokolwiek, co nie daje przyjemności. Albo moje życie, to nieumiejętność robienia czegokolwiek, co nie daje przyjemności. Na wyświetlaczu laptopa wisi stream Rafatusa. Marlenka, cała w sinikach, ma głowę włożoną między kolana, a Rafatus zмага się z bagnem jakim musi być dla dwudziestokilkulatka padaczka alkoholowa. To polska i uwspółcześniona wersja Sida i Nancy. Mam nadzieję, że przetrwają, że brutalne bijatyki i kłótnie zamienią na płomienne pocałunki, a żaden youtubowy shot nie ogłosi rytualnego samobójstwa przy utworach Popka i Cypisa. Jednak okienko czatu streama bywa bezlitosne. „EJ, BIJCIE SIĘ, UMRZYJCIE, ŻEBY COŚ SIĘ DZIAŁO”. Teraz smartphone i Messenger. Współlokatorka bliska memu sercu napisała nad ranem o tym, że kapitalizm jest pierwszym system, który wsiąkł w społeczeństwo do tego stopnia, że te straciło go z oczu. Pierwszy raz w życiu ludzkość wymyśliła system, który przestał jej służyć. Zastanawiam się gdzie mogła o tym przeczytać. Dwutygodnik? Krytyka Polityczna? No offence, ale zazwyczaj zdarza się jej cytować ludzi o których nie mam w zwyczaju myśleć w sobotni poranek. Z drugiej strony nic nie wskazuje na to, że nie można być jednocześnie piękną, inteligentną i czytaną kobietą. Mieć buzi modelki i vibe Donny Tartt. Być może w drodze ze Smolnej na Aleje Jerozolimskie udało jej się zahaczyć o tekst źródłowy albo doznać olśnienia.

Odpisuję: „Również pokonując tę trasę udało mi się już mieć podobne przemyślenia. Wpada się z minimali pod minimale, prawda?” Trzy kropki mrugają. Mrugają i mrugają. „sdajsodasodjo chodccc naa angielskii snaidanie do Bordo”. Tak.

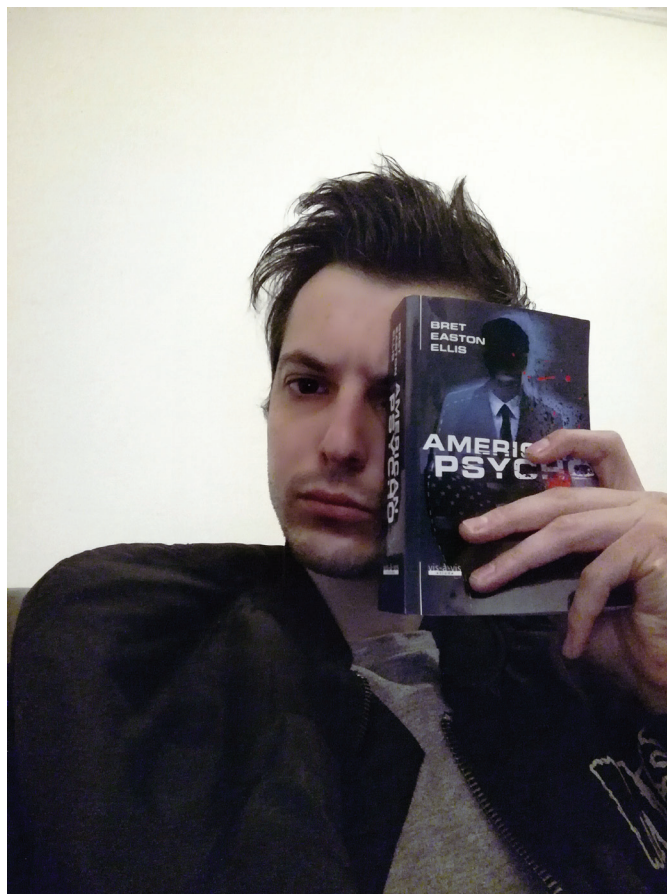
Skampi na Buzaru zmienia się na jajka, plastry bekonu, pomidory i fasolki w sosie pomidorowym. W trakcie jedzenia myślę o tym, czy zdarzyło się komukolwiek nie dać lajka na fejsie ze względu na jego status społeczny lub miesięczne dochody. Czy po prostu nie jest tak, że lepiej usytuowani lajkują lepiej usytuowanych. Przypominam sobie, że nie rozdaję szczerze lajków na fejsie, a nawet wpadłem w pewien nurt nie rozdawania lajków. Nie daję ich nowonarodzonym dzieciakom swoich znajomych, utworom muzycznym, które tam wrzucają, urlopom wakacyjnym, odwykom, kombinacjom, ogólnie, ostatnio rzadko mam ochotę, żeby coś komuś polajkować. Praca w reklamie nauczyła mnie, że ci, którzy domagają się hałasu, są przegrywami na samym wejściu. Twoi znajomi potrafią zwracać na siebie uwagę poprzez śmierć najbliższych. Śmierć brata potrafi być dobrym argumentem, żeby obgadywany wall zalał się woskiem z pikselowych zniczy. A to tylko jeden kęs.

Po chwili zauważam, że Basia ma piegi. Masz piegi, mówię. Ona, że no tak, bo przecież jak była mała, to była kompletnym rudzielcem, a jej mama przebrała ją za noc. Basia zna wszystkich, wszystko i wszędzie w tym mieście.

A do mnie wydzwania mama z dużo dalszego przedmieścia. Z dużo dalszego. Tam są jeszcze rzeki, lasy i podobno nie ma smogu. Słucham cię, Mamo. Wszyscy mają już dzieci, tylko ty nie masz. Żartuje, że wszyscy, którzy niegdyś mieli potencjał, dziś założyli rodziny. Nie chciałbym rozpułnąć się w dwupokojowym mieszkaniu z kobietą, która płacze w ukryciu przez rozstępy.

Szczególnie, że w drugim pokoju leży małe ciało, gotowe do życia w świecie nad którym ciąży groźba wojny jądrowej, w świecie gdzie jeśli dzieciak ma jabłko na fonie, to jest piąteczka, przechodź pierwszy, pierwszy weź sobie moją dziewczynę, pierwszy przyjdź w odwiedziny do mnie i zabijmy wspólnie rodziców. Oczywiście, jeśli pozwolisz mi skorzystać z GarageBand pod nasze nokturnalne rapsy.

Basia chce dokupić kilka szczegółów do prezentu urodzinowego Emi. Po piątkowych bachanaliach Flying Tiger Copenhagen, to ostatni krąg piekła. Różowe koperty, świeczuszki w najróżniejszych kolorach, błyskotki, małe kamyczki, drobne zwierzątka, dziwaczne wahadełka, kubeczki, szklaneczki, małe radości. Mam wrażenie, że otaczają nas same pary. Dziewczyny sprawiają wrażenie istot wypełnionych napięciem elektrycznym, a chłopcy z kolei, to zombie z dobrą miną do złej gry. Na każde: „czy to śliczne?” Główka afirmacyjne leci w górę i w dół. Basia prosi mnie o pomoc przy wyborze koloru talerzyków, ale ja myślę o tym, jak bardzo męczeni byli więźniowie Jednostki 731.



Wychodzimy, a porobiona po piątku dziewczyna w dreadach prosi nas o papierosa. Nie palimy, więc nic z tego. Jest niepokieszona. Ma potrzebę opowiedzenia nam historii, o tym jak gardzi pracą w korpo. Zauważam, że jest brudna. Pytam, czy pracowała kiedyś w korpo. Odpowiada, że „no co ty, nigdy”. Basię rozśmiesza jej odpowiedź. Ja nie czuję nic.

Wracamy na Bracką. Mija nas sportowy samochód oblepiony reklamą kryptokoparek. Mój kolega ze szkolnej ławki, kolega z rodzi-

mej miejscowości, ogarnia ten temat w Warszawie. Jego profile na portalach społecznościowych sugerują, że jest przed pierwszym milionem, a nie ma jeszcze trzydziestu lat. Kibicuje mu. Niech się wiedzie. Z fartem.

W mieszkaniu na Brackiej Ojcie uśmiecha się sam do siebie i odpala papierosa. Ojcie to mój przyjaciel. Znamy się od dziecka i od dziecka pochodzimy z tej samej miejscowości. Ojcie to scenograf, pracuje w Polsce przy realizacji popularnego serialu. Okazuje się, że jego uśmiech wywołała grupa chłopaków owiniętych w polskie flagi, grożąca uchodźcom, że jeśli nas odwiedzą, to oni ich przepędzą. Jesteśmy rozbawieni. Tym bardziej, że ci chłopcy mało wiedzą o świecie. Ich świat to cztery ściany jak Cube. Nie spróbowali życia poza wioską, niektórzy z nich nie odważyli się nawet wyjechać na dłużej. Być może powstrzymywało ich przywiązanie do rodziny. Bóg, honor, rodzina oraz ziemia pierwotna będąca naszą jedyną. Jednakże ich torse, wyhodowane na maminiach i babciniach potrawach, trzeba przyznać, imponujące. To podoba się tamtejszym dziewczynom. Walki w klatkach,

dyskoteki i wojna z urojonym wrogiem. Znam na tyle ogarniętych „turasów”, że mogliby ich zwinąć w rulonik i sprzedać w opcji: „ozdoba do salonu”, ale mimo wszystko ci wolą rozwijać swoje kariery, szlifować trzeci język obcy, niż ruszyć na wojnę.

Jest na tyle wcześnie, że przed urodzinami Emi, zdążymy zjeść z Basią ośmiorniczki na ostro w Krakenie. Wymieniamy plusy bycia singlem. Jest tego tyle, że patrząc na Basię rezygnuję, żeby powiedzieć jej, że jest piękna i wyjątkowo dobrze spędza mi się z nią czas. Ośmiorniczki są przepyszne, ale popełniam kardynalny błąd. Nie mieszam ich z sałatą nasączoną wyjątkowo dobrym sosem winegret. Uświadamia mi to Basia.

Z Ojcie pijemy browary, a Basia na swoim instastory rozlewa szampana za pięćset w The View tańcząc na stole (o tym, że kosztował pięćset złotych, dowiaduje się w niedzielę, przy rozmowie o tym, że najwięcej zdolnych artystów wywodziło się z klasy robotniczej.) Ojcie planuje swoją wystawę, a ja powieść. To nasze pięć minut. W stanie upojenia alkoholowego narzekamy, że etat, pomimo tego, że daje nam możliwość niekończącej się biesiady i tinderowej rozpusty, źle wpływa na naszą sztukę, a przecież jesteśmy artystami, sztuka jest najważniejsza, a najlepiej sztuka, która pozwoli kupić sobie coś od Gucci i zerwać film w Bangkoku.

Jesteśmy na techno. Na Smolnej. Ojcie jak robot wymienia nam wodę. Dobry set, poznaję fajną dziewczynę, ma ładny brzuch i jest blondynką. Ojcie mówi, że jest w sam raz. Rozmawiamy. Okazuje się, że jej tata jest wziętym warszawskim prawnikiem. Pytam, jak ma na imię. Natalia. Natalia, w takim razie, czym ty się zajmujesz? Ja studiuję prawo. Udaję, że nigdy nie udałoby mi się na to wpaść. Okej, odpowiadam. Kątem oka widzę, że Ojcie zagaduje dwie studentki psychologii (o kierunku studiów dowiaduję się oczywiście w niedzielę), ale że też odbija do pięknie zrobionej blondynki, której towarzyszy... Emi. Kiedy pojawia się Basia, Natalia traci swoje super moce, ale nadal wyobrażam sobie, że planuję z nią nasze wspólne życie. Basia ciągnie mnie do baru, na zasadzie: „stary, masz być singlem, głup-

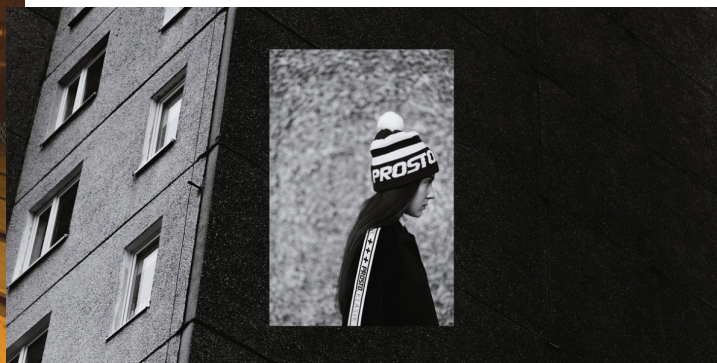
ku, ja też jestem singielką”. Zgoda, niech będzie.

Pijemy cokolwiek, bo to impreza techno, to nie Ritual, mówi, Asia. Ojcie wydaje się być już doktorantem wydziału psychologii UW. To jego metoda. Ma swoje czary i zaklęcia. Zawsze elokwentny. To podróżnik, himalaista, smakosz egzotycznych potraw oraz meloman. Drażni go jeśli ktoś próbuje podważyć jego reputację wybitnej osobowości. Chodzi o dziewczyny. Emi całuje się z Brazylijczykiem.

Afterparty mamy na Brackiej. Śmiejemy się, że na co dzień pracujemy w marketingu i chcemy być świetnie zarabiającymi menadżerami. Że nasze mieszkanie wypełnione jest influencerkami, menadżerami, scenografami i planistkami, ale też pisarzami, malarzami, aktorkami i modelkami. Robimy dziewczynom herbatę, one owijają się w koce i uśmiechają się do nas słodko. Sprawdzają swoje fejsy, insty i tindery. Tam sami nadziani i dobrze zbudowani faceci. Trzeba to zrozumieć. Ojcie w kącie otwiera „Poszerzenie pola walki” na losowej stronie i czyta na głos wybrany wers. W tle leci „GNOCCHI” BELMONDO. Przyglądam się Basi. Twórczość Houellebcqa rozrywa mi serce. Myślę o tym, że kocham tych ludzi. Że gdyby Basia płakała, to mnie byłoby smutno. Że gdyby Ojcie był zły, to też byłbym zły. To jest mój komfort, to jest dla mnie jak „filiżanka gorącej czekolady rozlana na mózg”, że mam tych ludzi przy sobie. Że wpada do nas Beti z San Francisco, Dżasta, Emi, Karolina albo Kasia i Przemek. Że na ten tekst czeka Ania, że Hubi dzwoni i mówi, że muszę dużo pisać, bo jestem w tym dobry. Możesz posłuchać w tym momencie „I’ll be there for you” The Rembrandts.

„MODA TO ARCHITEKTURA: WSZYSTKO JEST KWESTIĄ PROPORCJI”

Coco Channel



Angelika Fedorczuk

Połączenie mody i architektury z pozoru może wydawać się nieoczywiste. W pewnych aspektach te dwie dziedziny znacznie się od siebie różnią, ale projektowanie budowli oraz ubrań ma ze sobą wiele wspólnego.

Architektura i moda wzajemnie przenikają się koncentrując się na ludzkim ciele i konstrukcji.

To właśnie skupienie się na człowieku i jego potrzebach sprawiło, że na początku XX wieku architekci zaczęli wznosić zupełnie inne niż dotychczas budowle odwracając się od przeszłości.

Architektura stała się prosta, surowa i wielofunkcyjna. Skupienie się na proporcjach powstających konstrukcji sprawiło, że dekoracyjność zeszła na dalszy plan. Zaczął dominować minimalizm, który był przeciwieństwem wszelkiej stylizacji znanej z poprzednich epok. O pięknie budynku miał świadczyć jego funkcjonalizm. Czystość form i oszczędność materiałów miała stanowić jego jedyną dekorację.

Nie powinien więc dziwić nikogo fakt, że również moda zaczęła podążać w tym kierunku. Geometria i symetria, tak wywyższana przez architektów, pociągała projektantów mody od zawsze. Chodzi tu przede wszystkim o kolekcje minimalistyczne, wręcz ascetyczne. O projekty, które zachwycają dobrym krótkim i oryginalną, często dekonstrukcyjną formą.

Uwielbienie do jednolitych barw, intrygujących zagigów, czy też ażurów w strojach to tylko kilka założeń jakie można utożsamiać z architekturą.

W „architektonicznych” strojach na próżno można szukać przesadnej dekoracyjności. To konstrukcja i funkcjonalizm ma być ich jedyną ozdobą. W czasach, gdy nowe kolekcje zmieniają się coraz szybciej to ponadczasowość i uniwersalność stanowią coraz częściej docenianą wartość.

Jedną z takich marek jest szwedzka firma COS, która jest „siostrą” niezwykle popularnej H&M. COS wyróżnia się swą prostotą. W prezentowanych kolekcjach dominuje jednolita kolorystyka, oszczędność w dekoracjach i zabawa formą. Marka stara się tworzyć produkty ponadczasowe i minimalistyczne.

Romans mody z architekturą można zaobserwować coraz częściej również w Polsce.

Zdaje się, jakby polskie marki na nowo odkrywały rodzimy, miejski krajobraz.

Silne inspirowanie się architekturą PRL, można dostrzec na każdym kroku. Można by się wręcz pokusić o stwierdzenie, że aktualnie panuje „moda” na PRL.

Świadczy o tym popularność miejsc z minionej epoki jako miejsc spotkań towarzyskich i imprez kulturalnych, tj. dawny Hotel Forum w Krakowie. We wnętrzach tego niegdyś najbardziej luksusowego hotelu wzniesionego w 1988 roku obecnie mieści się Forum Mody i Designu.

.Wielu projektantów architekturę traktuje nie tylko jako tło dla swoich projektów, ale również silnie się nią inspirować, tak jak było to w przypadku Natalii Siebuły i jej najnowszej kolekcji.

Surowe wnętrza pokryte w większości drewnem, wypełnione starymi drewnianymi ławkami to krajobraz, który stanowił zarówno tło jak i dopełnienie najnowszej kolekcji projektantki pod nazwą MOLECULE. Wnętrza dawnego Audytorium Chemii Uniwersytetu Wrocławskiego wybudowanego w 1971 były nie tylko scenografią do sesji stworzonej przez fotografa Piotra Czyżę i stylistę Matusza Kołtunowicza, ale przede wszystkim stanowiły inspirację do zaprojektowania całej kolekcji. W MOLECULE kimonowe rękawy, sznurowania podkreślające asymetrie, czy szerokie spodnie nawiązują do wnętrz w jakich zostały zaprezentowane.

Również marki, które nie kojarzą się z minimalizmem dają się uwieść modzie na „architekturę” i w swych najnowszych kampaniach odchodzą od sztucznego stylizowania na rzecz minimalizmu i stonowania, tak jak ma się to w przypadku PROSTO Kłasyk i sesji zdjęciowych zrealizowanych przez Mateusza Szeligę, gdzie modele i modelki pozuje na tle modernistycznej architektury Wrocławia oraz Jeleniej Góry.

Zdjęcia: MOLECULE (w kolorze),

PROSTO (czarno-białe)

Zdjęcia: *Marek Sławiński*

Modelka: *Asia/ Gaga Models*

Stylizacja *Krystian Sierszyński*





Koszulka, spodnie: Pull&Bear
Pasek: no brand

Po lewej:

Sweter: Zara
Spódnica: Pull&Bear
Skarpety: Acephala
Buty: H&M



Koszula: Acephala
Sukienka: H&M



T-Shirt: Pull&Bear
Spodnie: H&M
Sukienka: no brand





Garnitur: H&M



Garnitur: H&M



Stanik: Bershka
Pasek, spodnie: H&M





Koszula: Acephala
Spodnie: H&M



Koszula: Acephala
Sukienka: H&M



Bluzka - Zara
Spodnie - Hugo Boss



Sweter: Reserved



Garnitur: H&M



Garnitur: H&M



T-Shirt: Pull&bear
Sukienka: no brand

CATWALK

MAGAZINE

catwalkmag.pl